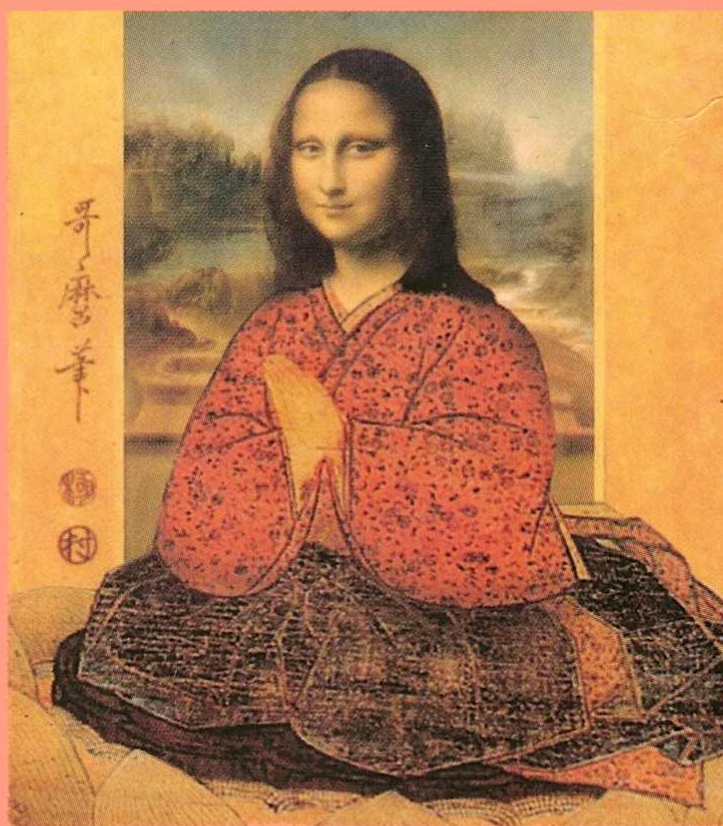


# AMÉLIE NOTHOMB

## Z POKORĄ I UNIZENIEM



# AMÉLIE NOTHOMB Z POKORĄ I UNIŻENIEM

Przełożyła  
BARBARA GRZEGORZEWSKA



Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA  
Warszawa 2000

**GALERIA**

Pan Haneda był przełożonym pana Omochi, który był przełożonym pana Saito, który był przełożonym panny Mori, która była moją przełożoną. Ja nie byłam niczyją przełożoną.

Inaczej mówiąc: podlegałam pannie Mori, która podlegała panu Saito i tak dalej, z tym że w dół hierarchii można było przeskakiwać poszczególne szczeble.

Tak więc w firmie Yumimoto podlegałam wszystkim.

Ósmego stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku winda wypluła mnie na ostatnim piętrze wieżowca Yumimoto. Znajdujące się na końcu holu okno wessało mnie jak stłuczone okienko w samolocie. Daleko, bardzo daleko, rozciągało się miasto – tak daleko, że nie miałam pewności, czy kiedykolwiek powstała tam moja stopa.

Nie pomyślałam o tym, żeby zgłosić się do recepcji. Właściwie nie myślałam o niczym, zafascynowana pustką po drugiej stronie szyby.

Nagle chrapliwy głos za moimi plecami wymówił moje nazwisko. Odwróciłam się. Mężczyzna około pięćdziesiątki, niski, chudy i brzydki, patrzył na mnie z niezadowoleniem.

– Dlaczego nie zameldowała się pani recepcjonistce?  
– spytał.

Nie znalazłam żadnej odpowiedzi, więc nie odpowiedziałam. Spuściłam głowę z poczuciem, że w ciągu tych dziesięciu minut, nie wypowiedziawszy słowa, wywarłam niedobre wrażenie w pierwszym dniu pracy w korporacji Yumimoto.

Mężczyzna oznajmił, że nazywa się pan Saito. Poprowadził mnie przez olbrzymie sale, gdzie przedstawiał mnie tłumom ludzi, których nazwiska zapominałam, w miarę jak je wymieniał.

Następnie wprowadził mnie do gabinetu, gdzie urzędował jego zwierzchnik, pan Omochi, wielki i przerażający, co dowodziło, że jest wiceprezesem.

Potem wskazał mi jakieś drzwi i uroczyście oświadczył, że znajduje się za nimi sam prezes, pan Haneda. Było oczywiste, że spotkanie z nim nie wchodziło w rachubę.

W końcu zaprowadził mnie do olbrzymiej sali, gdzie pracowało około czterdziestu osób. Wskazał mi miejsce naprzeciw mojej bezpośredniej przełożonej, panny Mori. Ta była właśnie na zebraniu i miała wrócić wczesnym popołudniem.

Pan Saito krótko przedstawił mnie zgromadzonym. Następnie spytał, czy lubię wyzwania. Było jasne, że nie wolno mi odpowiedzieć przecząco.

– Tak – oznajmiłam.

Było to pierwsze słowo, jakie wypowiedziałam w przedsiębiorstwie. Do tej pory zadowalałam się kiwaniem głową. „Wyzwanie”, jakie zaproponował mi pan Saito, polegało na potwierdzeniu przyjęcia zaproszenia niejakiego Adama Johnsona na partię golfa w następną niedzielę. Miałam napisać do tego pana list po angielsku, żeby go o tym zawiadomić.

– Kto to jest Adam Johnson? – spytałam głupio.

Mój zwierzchnik westchnął z irytacją i nie odpowiedział.

Czy było nie do pomyślenia nie wiedzieć, kim jest pan Johnson, czy może pytanie było niedyskretne? Nigdy się tego nie dowiedziałam – nigdy też nie dowiedziałam się, kim był Adam Johnson.

Zadanie wydało mi się łatwe. Usiadłam i napisałam serdeczny list: pan Saito cieszy się na myśl o tym, że w następną niedzielę zagra w golfa z panem Johnsonem i przesyła mu wyrazy przyjaźni. Zniosłam list mojemu zwierzchnikowi.

Pan Saito przeczytał moją pracę, wydał pogardliwy okrzyk i podał kartkę:

– Proszę pisać od nowa.

Uznałam, że byłam nazbyt uprzejma lub poufała wobec Adama Johnsona i zredagowałam tekst chłodny i pełen dystansu: pan Saito przyjmuje do wiadomości zaproszenie pana Johnsona i zgodnie z jego życzeniem zagra z nim w golfa.

Mój zwierzchnik przeczytał moją pracę, wydał pogardliwy okrzyk i podał kartkę:

– Proszę pisać od nowa.

Miałam ochotę spytać, gdzie popełniłam błąd, lecz było jasne, że szef nie znosi pytań, jak wykazała to jego reakcja na próbę ustalenia, kim jest adresat. Musiałam więc sama wymyślić, w jakim stylu pisać do tajemniczego Adama Johnsona.

Następne kilka godzin spędziłam na redagowaniu kolejnych pism do tego gracza w golfa. Pan Saito nadawał rytm mojej produkcji, drąc kolejne wersje listu i komentując je wciąż tym samym okrzykiem stanowiącym zapewne coś w rodzaju refrenu. Za każdym razem musiałam wymyślać nowe sformułowania.

Było w tym ćwiczeniu coś z molierowskiego: „Piękna markizo, twoje piękne oczy sprawiają, że umieram dla

ciebie z miłości”, co dodawało mu pikanterii. Próbowałam zmieniać formy gramatyczne: „A gdyby tak Adam Johnson stał się czasownikiem, przyszła niedziela podmiotem, grać w golfa dopełnieniem, a pan Saito przysłówkiem? Przyszła niedziela z radością przyjdzie Adamjohnsonować graciego w golfa panSaitocznie. I kij mu w oko!”.

Zaczynałam się dobrze bawić, kiedy mój zwierzchnik mi przerwał. Podarł enty list, nawet go nie czytając, i powiedział, że przyszła panna Mori.

– Będzie pani z nią pracować dziś po południu. Tymczasem proszę mi przynieść kawę.

Była już czternasta. Moje epistolarne palcówki tak bardzo mnie pochłonęły, że nawet nie pomyślałam o zrobieniu sobie przerwy.

Postawiłam filizankę na biurku pana Saito i odwróciłam się. W moim kierunku szła wysoka i smukła jak łuk dziewczyna.

Zawsze, kiedy wracam myślami do Fubuki, widzę japoński łuk, wyższy od człowieka. Dlatego też firmę nazwałam „Yumimoto”, co oznacza „sprawy związane z łukiem”.

A kiedy widzę łuk, zawsze przypominam sobie Fubuki, wyższą od mężczyzny.

– Panna Mori?

– Proszę mi mówić Fubuki.

Przestałam słuchać, co do mnie mówi. Panna Mori mierzyła co najmniej metr osiemdziesiąt; wzrost, który osiąga niewielu tylko japońskich mężczyzn. Była zachwycająca: smukła i pełna wdzięku, pomimo japońskiej sztyw-

ności, której musiała hołdować. Tym jednak, co wprawiło mnie w osłupienie, było niezwykle piękno jej twarzy.

Mówiła coś do mnie, słyszałam jej głos, łagodny i pełen inteligencji. Pokazywała mi różne teczki, tłumaczyła, o co chodzi, uśmiechała się. Nie zdawałam sobie sprawy, że jej nie słucham.

Poprosiła, żebym zapoznała się z dokumentami, które położyła mi na biurku stojącym naprzeciwko jej biurka. Następnie usiadła i zabrała się do pracy. Posłusznie kartkowałam papiery, które dała mi do przejrzenia. Były to jakieś rozporządzenia, wyliczenia.

Z odległości dwóch metrów mogłam przyglądać się jej ujmującej twarzy. Spod opuszczonych nad cyframi powiek nie mogła dostrzec, że na nią patrzę. Miała najpiękniejszy na świecie nos, niedościgniony japoński nos z delikatnymi nozdrzami, które rozpoznać można pośród tysiąca innych. Nie wszyscy Japończycy mają takie nosy, lecz jeśli już ktoś taki ma, można być absolutnie pewnym, że jest pochodzenia japońskiego. Gdyby Kleopatra miała taki nos, geografia naszej planety doznałaby zapewne niezłego wstrząsu.

Wieczorem doszłam do wniosku, że nie przydała mi się żadna z umiejętności, dla których mnie zatrudniono, ale narzekać z tego powodu byłoby z mojej strony małostkowe. Chciałam pracować w japońskim przedsiębiorstwie. I pracowałam w nim.

Miałam wrażenie, że spędziłam znakomity dzień. Następne dni utwierdziły mnie w tym przekonaniu.

Nadal nie rozumiałam, jaka jest moja rola w firmie; było mi to obojętne. Pan Saito, zdaje się, uważał, że jestem zadziwiająca; to było mi jeszcze bardziej obojętne.

Zachwycona byłam moją koleżanką. Jej przyjaźń wydawała mi się bardziej niż wystarczającym powodem, żeby spędzać ponad dziesięć godzin dziennie w firmie Yumimoto.

Cera Fubuki, zarazem biała i matowa, przypominała tę, którą tak pięknie opisuje Tanizaki. Nie licząc zadziwiającego wzrostu, do perfekcji uosabiała japońską urodę. Jej twarz sugerowała pokrewieństwo z „goździkiem dawnej Japonii”, symbolem szlachetnie urodzonej panny z dawnych czasów: wieńcząca tę olbrzymią sylwetkę, była predestynowana, by dominować nad światem.

Yumimoto była jedną z największych światowych korporacji. Pan Haneda kierował w niej działem Import-Eksport, który kupował i sprzedawał wszystko, co istniało, jak planeta długa i szeroka.

Katalog Import-Export firmy Yumimoto był mocno rozbudowaną wersją katalogu Préverta<sup>1</sup>: od fińskiego ementalera aż do singapurskiej sody, poprzez kanadyjskie światłowodory, francuskie opony i togijską jutę, nic mu się nie wymykało.

Pieniądze, w Yumimoto, przechodziły ludzkie wyobrażenie. Począwszy od pewnego nagromadzenia zer, kwoty traciły charakter liczb i wkraczały w dziedzinę sztuki abstrakcyjnej. Zastanawiałam się, czy w całej firmie znalazłoby się kogoś, kto zdolny byłby cieszyć się zdobyciem stu milionów jenów lub martwić utratą równorzędnej sumy.

Pracownicy Yumimoto, podobnie jak zera, nabierali wartości w zestawieniu z innymi liczbami. Wszyscy oprócz mnie, która znaczyłam mniej niż zero.

---

<sup>1</sup> Aluzja do wiersza Jacques'a Préverta *Inventaire*.



Mijały dni, a ja wciąż nie miałam żadnych obowiązków. Specjalnie mi to nie przeszkadzało. Odnosiłam wrażenie, że o mnie zapomniano, co było nawet dość przyjemne. Siedziałam przy biurku i na okrągło czytałam dokumenty, które Fubuki przekazała do mojej dyspozycji. Były straszliwie nudne, z wyjątkiem jednego, który stanowił spis członków koncernu Yumimoto: znajdowały się w nim ich nazwiska, imiona, daty i miejsca urodzenia, nazwiska ewentualnych współmałżonków i dzieci, daty urodzenia każdego z nich.

Same w sobie wiadomości te nie zawierały nic fascynującego. Lecz kiedy jest się bardzo głodnym, nęci nas nawet skórka chleba: w stanie bezczynności i wycieńczenia, w jakim znajdował się mój umysł, lista ta wydała mi się pasjonująca jak sensacyjne czasopismo.

Pragnąc sprawić wrażenie, że pracuję, postanowiłam nauczyć się jej na pamięć. Było na niej około setki nazwisk. Większość wymienionych miała współmałżonków i dzieci, co dodatkowo utrudniało moje zadanie.

Wkuwałam listę na pamięć; moja głowa na przemian to pochylała się nad materiałem, to unosiła, gdy w swojej czarnej skrzynce przetwarzałam dane. Kiedy unosiłam głowę, mój wzrok padał zawsze na twarz siedzącej naprzeciwko Fubuki.

Pan Saito nie prosił już, żebym pisała listy do Adama Johnsona czy do kogokolwiek innego. Właściwie nie prosił mnie o nic poza przynoszeniem mu kolejnych filiżanek kawy.

Dla początkującego pracownika japońskiej firmy jest najzupełniej oczywiste, że zaczyna od oszakumi – „funkcji czcigodnej herbaciarki”. Potraktowałam tę rolę tym poważniej, że była jedyną, jaką mi powierzono.

Szybko poznałam zwyczaje każdego z osobna: dla pana Saito, o ósmej trzydzieści, czarna kawa. Dla pana Unaji,

kawa z mlekiem, dwie kostki cukru, o dziesiątej. Dla pana Mizuno, co godzinę kubeczek coca-coli. Dla pana Okady, o siedemnastej, herbata po angielsku z odrobiną mleka. Dla Fubuki zielona herbata o dziewiątej, czarna kawa o dwunastej, zielona herbata o piętnastej i ostatnia kawa o dziewiętnastej – za każdym razem dziękowała mi z uroczą uprzejmością.

To skromne zadanie stało się pierwszą przyczyną mojej zguby.

Któregoś rana pan Saito poinformował mnie, że wiceprezes przyjmuje u siebie w gabinecie ważną delegację zaprzyjaźnionej firmy:

– Kawa dla dwudziestu osób.

Weszłam do pana Omochi z ogromną tacą i zachowałam się lepiej niż doskonale: każdą filizankę podawałam ze szczególną pokorą, recytując najbardziej wyszukane zwyczajowe formułki, spuszczając wzrok i nisko się kłaniając. Jeżeli istniał order zasługi dla oszakumi, powinnam go była otrzymać.

Po kilku godzinach delegacja wyszła. Grzmiący głos olbrzymiego pana Omochi zakrzyknął:

– Saito-san!

Zobaczyłam, jak pan Saito zrywa się z miejsca, robi się trupioblady i biegnie do jaskini wiceprezesa. Wrzaski grubasa słyhać było przez ścianę. Nie rozumiało się, co mówi, ale nie brzmiało to uprzejmie.

Pan Saito wrócił, zmieniony na twarzy. Na myśl, że waży trzy razy mniej niż jego napastnik, poczułam do niego jakiś głupi przyływ czułości. Wtedy zawołał mnie z wściekłością w głosie.

Weszłam za nim do pustego gabinetu. Zaczął mówić z gniewem, od którego plątał mu się język:

– Bardzo źle usposobiła pani delegację zaprzyjaźnionej firmy! Podawała pani kawę wypowiadając formułki sugerujące, że doskonale mówi pani po japońsku!

– Nie mówię najgorzej, Saito-san.

– Proszę milczeć! Jakim prawem się pani broni? Pan Omochi jest na panią bardzo zagniewany. Wytworzyła pani na porannym zebraniu okropny nastrój: jak nasi partnerzy mieli czuć się swobodnie w obecności jakiejś Białej, która rozumie ich język? Od tej chwili nie mówi pani po japońsku.

Spojrzałam na niego okrągłymi oczyma:

– Słucham?

– Nie zna pani japońskiego. Jasne?

– Ale przecież właśnie z uwagi na znajomość waszego języka zatrudniono mnie w Yumimoto!

– Nic mnie to nie obchodzi. Wydaję pani polecenie, żeby przestała pani rozumieć po japońsku.

– To niemożliwe. Nie sposób podporządkować się takiemu poleceniu.

– Zawsze jest sposób, żeby podporządkować się poleceniu. Zachodnie umysły powinny to zrozumieć.

Tu jest pies pogrzebany – pomyślałam, zanim podjęłam rozmowę:

– Japoński umysł zapewne zdolny jest zmusić się do tego, żeby zapomnieć własnego języka. Umysł zachodni nie dysponuje takimi możliwościami.

Ten niedorzeczny argument najwyraźniej wydał się panu Saito możliwy do przyjęcia.

– Niech pani jednak spróbuje. A przynajmniej niech pani udaje. Otrzymałem rozkazy co do pani. Zrozumiano?

Jego ton był oschły i stanowczy.

Kiedy wróciłam do swojego biurka, musiałam mieć dziwną minę, bo Fubuki posłała mi ciepłe i zatroskane

spojrzenie. Długo siedziałam przygnębiona, zastanawiając się, jaką przyjąć postawę.

Najbardziej logicznym posunięciem byłoby złożenie dymisji. Na to jednak nie mogłam się zdecydować. W oczach mieszkańca Zachodu decyzja taka nie miałaby w sobie nic hańbiącego; w oczach Japończyka oznaczałaby utratę twarzy. Pracowałam w korporacji dopiero miesiąc. Podpisałam roczny kontrakt. Odejście po tak krótkim czasie okryłoby mnie hańbą zarówno w oczach kolegów, jak w moich własnych.

Tym bardziej że wcale nie miałam ochoty odchodzić. Żeby dostać się do tej firmy, zadałam sobie wiele trudu: uczyłam się tokijskiego języka biznesu, zdałam testy. Fakt, że nigdy nie miałam ambicji zostać championką międzynarodowego handlu, zawsze jednak pragnęłam mieszkać w tym kraju, dla którego, od wczesnego dzieciństwa, żywiłam prawdziwy kult.

Zostanę.

W związku z tym będę musiała podporządkować się nakazowi pana Saito. Przetrzaśnęłam swój mózg w poszukiwaniu jakiejś geologicznej warstwy podatnej na amnezję: czy w mojej neuronowej twierdzy istnieją jakieś lochy niepamięci? Niestety, budowla miała mocne i słabe punkty, wieżyczki strażnicze i pęknięcia, dziury i fosy, lecz ani jednego zakamarka, gdzie mogłabym ukryć język, który nieustannie wokół siebie słyszałam.

Skoro nie mogę go zapomnieć, może chociaż uda mi się go zataić? Jeśli język jest lasem, czy potrafię ukryć za francuskimi bukami, angielskimi topolami, rzymskimi dębami i greckimi oliwkami ogrom japońskich kryptomerii<sup>1</sup>, które w tym przypadku zostały trafnie nazwane?

---

<sup>1</sup> *Cryptomeria japonica*.

Mori, nazwisko Fubuki, znaczyło las. Czy właśnie dlatego skierowałam na nią niepewne spojrzenie? Spostrzegłam, że wciąż patrzy na mnie pytająco.

Wstała i dała mi znak, żebym za nią poszła. W kuchni osunęłam się na krzesło.

– Co pani powiedział? – zapytała.

Wyrzuciłam z siebie wszystko. Mówiłam łamiącym się głosem, byłam bliska płaczu. Nie udało mi się powstrzymać niebezpiecznego wyznania:

– Nienawidzę pana Saito. To świnia i kretyn.

Fubuki lekko się uśmiechnęła.

– Nie. Myli się pani.

– Oczywiście. Pani jest dobra, nie widzi pani zła. Ale przecież, żeby wydać mi takie polecenie, trzeba być...

– Proszę się uspokoić. To polecenie nie wyszło od niego. Przekazywał tylko dyrektywy pana Omochi. Nie miał wyboru.

– W takim razie pan Omochi jest...

– To ktoś bardzo szczególny – przerwała mi. – O co pani chodzi? Jest wiceprezesem. Nic na to nie poradzimy.

– Mogłabym porozmawiać z prezesem, panem Hanedą. Co to za człowiek?

– Pan Haneda jest człowiekiem wyjątkowym. Jest bardzo inteligentny i bardzo dobry. Niestety nie może pani pójść do niego na skargę.

Miała rację, wiedziałam o tym. Nie do pomyslenia było przeskoczyć choć jeden szczebel hierarchicznej drabiny, a co dopiero aż tyle. Wolno mi było jedynie zwrócić się do mojego bezpośredniego zwierzchnika, którym akurat była panna Mori.

– Jest pani moim jedynym ratunkiem, Fubuki. Wiem, że niewiele może pani dla mnie zrobić. Ale bardzo pani dziękuję. Pani życzliwość jest dla mnie wielkim pocieszeniem.

Uśmiechnęła się.

Spytałam, jaki jest ideogram jej imienia. Pokazała mi swoją wizytówkę. Spojrzałam na kandzi i zawołałam:

– Burza śnieżna! Fubuki znaczy „Burza śnieżna”! Co za wspaniałe imię.

– Urodziłam się podczas śnieżnej burzy. Rodzice dostrzegli w tym znak.

Przebiegła mi przez głowę lista Yumimoto: „Mori Fubuki, urodzona w Narze 18 stycznia 1961 roku...”. Była dzieckiem zimy. Nagle wyobraziłam sobie tę burzę śnieżną nad szlachetnym miastem Nara, nad jego niezliczonymi dzwonami – czyż nie było naturalne, że ta cudowna młoda kobieta urodziła się w dniu, w którym piękno nieba zjednoczyło się z pięknem ziemi?

Opowiedziała mi o swoim dzieciństwie w Kansai. Ja opowiedziałam jej o moim, które zaczęło się w tej samej prowincji, niedaleko od Nary, we wsi Shukugawa, w pobliżu góry Kabuto – wspomnienie tych mitycznych miejsc wyciskało mi łzy z oczu.

– Tak się cieszę, że obie pochodzimy z Kansai! To właśnie tam bije serce starej Japonii.

Tam również biło moje serce, od chwili gdy w wieku pięciu lat opuściłam japońskie góry, aby przenieść się na chińską pustynię. To pierwsze wygnanie tak bardzo mnie naznaczyło, że gotowa byłam zgodzić się na wszystko, by znowu wtopić się w ten kraj, z którego przez długi czas sądziłam, że pochodzę.

Kiedy znów zasiadłyśmy przy naszych ustawionych naprzeciwko siebie biurkach, wciąż jeszcze nie potrafiłam rozwiązać mojego problemu. Mniej niż kiedykolwiek dotąd wiedziałam, jakie jest i jakie będzie moje miejsce w koncernie Yumimoto. Czułam się jednak spokojna, bo byłam koleżanką Fubuki Mori.

Chodziło o to, by sprawiać wrażenie zajętej, a jednocześnie udawać, że nie rozumiem ani słowa z tego, co się wokół mnie mówi. Odtąd podawałam filiżanki herbaty i kawy, nie wypowiadając żadnej grzecznościowej formułki i nie odpowiadając na podziękowania urzędników. Ci jednak nie znali ostatnich dotyczących mnie zarządzeń i nie kryli zdziwienia, że miła biała gejsza zmieniła się w ordynarną jankeską flądrę.

Niestety oszakumi nie zabierało mi wiele czasu. Postanowiłam więc, nie pytając nikogo o zdanie, roznosić pocztę.

Trzeba było pchać ogromny metalowy wózek, przejeżdżać przez rozległe sale i doręczać ludziom listy. Praca ta niezwykle mi odpowiadała. Po pierwsze wykorzystywałam swoje umiejętności językowe, ponieważ większość adresów napisana była ideogramami – kiedy pan Saito był daleko, nie ukrywałam, że znam japoński. Po drugie okazało się, że nie na darmo nauczyłam się na pamięć listy zatrudnionych w Yumimoto: mogłam teraz nie tylko rozpoznawać najskromniejszych pracowników, ale także korzystać z mojej funkcji, jeśli nadarzyła się okazja, by złożyć im, ich małżonkom lub potomstwu, najlepsze życzenia urodzinowe.

Z uśmiechem i unizonym ukłonem mówiłam: „Oto pańska poczta, panie Shiranai. Serdeczne życzenia urodzinowe dla małego Yoshiro, który dzisiaj kończy trzy latka”, co za każdym razem wywoływało zdumione spojrzenie.

To zajęcie zabierało mi sporo czasu: trzeba było krążyć po całej firmie, która mieściła się na dwóch piętrach. Razem z wózkiem, dobrze wpływającym na moje samopoczucie, bez przerwy korzystałam z windy. Lubiłam to, bo tuż obok znajdowało się ogromne szklane okno. Bawiłam się wtedy w to, co nazywałam „rzucaniem się w widok”.

Przywierałam nosem do szyby i w myślach rzucałam się w dół. Miasto leżało daleko pode mną: mogłam zobaczyć mnóstwo rzeczy, zanim rozbiję się na ziemi.

Odkryłam swoje powołanie. Mój umysł rozkwitał w czasie tej pracy, prostej, pożytecznej, ludzkiej i sprzyjającej kontemplacji. Chciałam robić to przez całe życie.

Pan Saito wezwał mnie do swojego gabinetu. Dostałam zasłużoną burę: byłam winna poważnego występku, jakim jest samowolne podjęcie inicjatywy. Przydzieliłam sobie funkcję, nie prosząc moich bezpośrednich przełożonych o pozwolenie. Co więcej, dotychczasowy roznosiciel poczty przedsiębiorstwa, który przychodził po południu, znajdował się na skraju załamania nerwowego, gdyż sądził, że zostanie zwolniony.

– Odbierać komuś pracę, to bardzo brzydki postępek – zauważył słusznie pan Saito.

Byłam niepokieszona, że moja obiecująca kariera tak szybko się zakończyła. Ponadto znowu pojawił się problem, czym mam się zająć.

W końcu wpadłam na pomysł, który w swej naiwności uznałam za olśniewający: w czasie moich wędrówek po firmie zauważyłam, że w każdym gabinecie znajdowało się po kilka kalendarzy, które prawie nigdy nie wskazywały właściwego dnia, bo albo mała czerwona ramka nie została przesunięta na odpowiednią datę, albo strona przedstawiająca miesiąc nie została odwrócona.

Tym razem nie omieszkałam spytać o pozwolenie.

– Czy mogę ustawiać kalendarze na aktualną datę, panie Saito?

Niewiele myśląc, odpowiedział „tak”. Uznałam, że mam zajęcie.



Rano wchodziłam do każdego gabinetu i przesuwałam małą czerwoną ramkę na właściwą datę. Miałam stanowisko: byłam ustawiaczką kalendarzy.

Z czasem pracownicy Yumimoto odkryli moje praktyki. Wywołały one ich niepohamowaną wesołość.

Pytano mnie:

– Jak leci? Nie przemęcza się pani zanadto tą wyczerpującą pracą?

Odpowiadałam z uśmiechem:

– To straszne. Biorę witaminy.

Lubiłam swoje zajęcie. Jego minusem było to, że zajmowało zbyt mało czasu, umożliwiało mi jednak korzystanie z windy, a co za tym idzie, „rzucanie się w widok”. Ponadto bawiło moją publiczność.

Jeśli o to chodzi, szczyt nastąpił na przełomie lutego i marca. Tego dnia nie wystarczyło przesunąć małej czerwonej ramki: musiałam przewracać, a nawet wyrywać kartkę z lutym.

W kolejnych gabinetach przyjmowano mnie jak sportowca. Wymachując rękami jak samuraj, mordowałam miesiąc luty w bezlitosnej walce z ogromną fotografią ośnieżonej góry Fuji, która ilustrowała ten okres w kalendarzu Yumimoto. Następnie, z powściągliwą godnością zwycięskiego wojownika, opuszczałam pole bitwy, wyczerpana, odprowadzana banzajami wniebowziętych komentatorów.

Echa mojej sławy dotarły do uszu pana Saito. Spodziewałam się za te wygłupy niezłej bury. Toteż przygotowałam obronę:

– Pozwolił mi pan ustawiać kalendarze na aktualną datę – zaczęłam, zanim posypią się na mnie gromy.

Odpowiedział bez cienia gniewu, właściwym sobie niezadowolonym tonem.

– Tak. Może pani nadal się tym zajmować. Ale proszę nie robić z siebie widowiska. Rozprasza pani pracowników.

Byłam zdziwiona łagodnością upomnienia. Pan Saito dodał jeszcze:

– Proszę to skserować.

I wręczył mi olbrzymi plik kartek formatu A4. Musiało ich być koło tysiąca.

Umieściłam paczkę w podajniku powielacza, który wykonał zadanie z wzorową szybkością i kurtuazją. Zniosłam zwierzchnikowi oryginał i kopie.

Za chwilę zawołał mnie do siebie.

– Pani kopie są lekko przesunięte – powiedział, pokazując mi jedną z kartek. – Proszę to powtórzyć.

Wróciłam do powielacza przekonana, że źle ułożyłam strony w podajniku. Tym razem zrobiłam to z najwyższą dokładnością: rezultat był bez zarzutu. Przyniosłam moje dzieło panu Saito.

– Znowu są przesunięte – stwierdził.

– Nieprawda! – wykrzyknęłam.

– Bardzo niegrzecznie mówić tak do przełożonego.

– Przepraszam. Ale starałam się, żeby były idealne.

– Niestety nie są. Proszę spojrzeć.

Pokazał mi kartkę, która wydała mi się nienaganna.

– Gdzie jest błąd?

– O, tutaj, proszę popatrzeć: równoległość z brzegiem nie jest całkowita.

– Tak pan uważa?

– Przecież mówię!

Wrzucił plik do kosza na śmieci i mówił dalej:

– Używała pani podajnika?

– Owszem.

– Oto wyjaśnienie. Nie należy używać podajnika. Nie jest dość precyzyjny.

– Panie Saito, bez podajnika ta praca zajmie mi kilka godzin.

– W czym problem? – uśmiechnął się. – Przecież skarżyła się pani na brak zajęcia.

Zrozumiałam, że to jest moja kara za numer z kalendarzami.

Jak niepyszna stanęłam przy powielaczu. Za każdym razem musiałam unosić wieko, starannie układać stronę, naciskać guzik i sprawdzać rezultat. Kiedy rozpoczynałam swoją katorgę, była piętnasta. O dziewiętnastej praca jeszcze nie była skończona. Od czasu do czasu pojawiali się jacyś pracownicy: jeśli mieli zrobić więcej niż dziesięć kopii, prosiłam ich pokornie, żeby zechcieli skorzystać z urządzenia stojącego w drugim końcu korytarza.

Rzuciłam okiem na treść tego, co powielalam. Myślałam, że umrę ze śmiechu, kiedy zorientowałam się, że chodzi o regulamin klubu golfowego, do którego należy pan Saito.

Chwilę później o mało się nie popłakałam na myśl o biednych niewinnych drzewach, które marnotrawił mój zwierzchnik, żeby mnie ukarać. Wyobraziłam sobie japońskie lasy mojego dzieciństwa, klony, kryptomerie i miłorzęby ścinane jedynie po to, by dać nauczkę istocie tak mało znaczącej jak ja. I przypominałam sobie, że nazwisko Fubuki oznacza las.

Wtedy nadszedł pan Tenshi, który kierował działem produktów mlecznych. Miał taki sam stopień służbowy jak pan Saito, który był kierownikiem działu księgowości. Spojrzałam na niego ze zdziwieniem: jak to możliwe, żeby urzędnik tej rangi nie zlecił podwładnemu zrobienia fotokopii?

Odpowiedział na moje nieme pytanie:

– Jest już dwudziesta. Jestem jedynym pracującym jeszcze członkiem zespołu. Proszę powiedzieć, dlaczego nie używa pani podajnika?

Wytłumaczyłam mu z nieśmiałym uśmiechem, że chodzi o wyraźne polecenie pana Saito.

– Rozumiem – powiedział tonem pełnym niedomówień.

Przez chwilę się zastanawiał, po czym spytał:

– Pani jest Belgijką, prawda?

– Tak.

– Świetnie się składa. Mam bardzo interesujący projekt związany z pani krajem. Czy zgodziłaby się pani sporządzić dla mnie pewne opracowanie?

Spojrzałam na niego jak na Mesjasza. Wyjaśnił mi, że jedna z belgijskich spółdzielni opracowała nową metodę obniżania zawartości tłuszczu w maśle.

– Wierzę w odtłuszczone masło – dodał. – To przyszłość.

Z miejsca wyrobiłam sobie zdanie na ten temat:

– Zawsze tak myślałam!

– Proszę przyjść jutro do mojego gabinetu.

Skończyłam robić kopie w stanie nieważkości. Otwierała się przede mną wielka kariera. Położyłam plik stronic A4 na biurku pana Saito i wyszłam rozpromieniona.

Nazajutrz kiedy przyszłam do firmy Yumimoto, Fubuki oznajmiła mi z przerażoną miną:

– Pan Saito życzy sobie, żeby pani ponownie zrobiła kopie. Uważa, że są przesunięte.

Wybuchnęłam śmiechem i wyjaśniłam swojej koleżance, że szef najwyraźniej bawi się ze mną w kotka i myszkę.

– Jestem pewna, że nawet nie spojrzał na nowe kopie. Robiłam je pojedynczo, kalibrując co do milimetra. Zajęło mi to nie wiem ile godzin – a chodzi o regulamin jego klubu golfowego!

Fubuki wyraziła swoje współczucie z łagodnym oburzeniem:

– Znęca się nad panią!

Pocieszyłam ją:

– Proszę się nie martwić. On mnie bawi.

Wróciłam do powielacza, który zaczynałam już dobrze znać i powierzyłam pracę podajnikowi: wiedziałam, że pan Saito wyda orzeczenie, nie racząc nawet rzucić okiem na moje dzieło. Uśmiechnęłam się ze wzruszeniem, myśląc o Fubuki: Jest taka miła! Dobrze, że tutaj jest!

W gruncie rzeczy ostatni popis pana Saito był mi bardzo na rękę: dzień wcześniej spędziłam siedem godzin, wykonując, po jednej, tysiąc kopii. To dawało mi doskonałe alibi na czas, jaki spędzę dzisiaj w gabinecie pana Tenshi. Podajnik ukończył moją pracę w dziesięć minut. Zabrałam ze sobą plik kartek i pobiegłam do działu produktów mlecznych.

Pan Tenshi podał mi dane belgijskiej spółdzielni:

– Potrzebny mi będzie wyczerpujący, możliwie jak najbardziej szczegółowy raport na temat tego nowego odtłuszczonego masła. Może pani usiąść przy biurku pana Saitamy: jest w podróży służbowej.

Tenshi znaczy „anioł”; pomyślałam, że nazwisko pana Tenshi doskonale do niego pasuje. Nie tylko dawał mi szansę, ale nie formułował żadnych wskazówek; pozostawiał mi więc wolną rękę, co w Japonii jest czymś zupełnie wyjątkowym. Poza tym podjął tę inicjatywę, nie pytając nikogo o zdanie; to było grube ryzyko.

Byłam tego świadoma. W efekcie z miejsca poczułam wobec pana Tenshi bezgraniczne oddanie – oddanie, które każdy Japończyk winien jest swemu szefowi, a którego nie mogłam z siebie wykrzesać w stosunku do pana Saito i do pana Omochi. Pan Tenshi stał się nagle moim

najwyższym wodzem: byłam gotowa bić się za niego aż do końca, jak samuraj.

Rzuciłam się do walki o masło o obniżonej zawartości tłuszczu. Różnica czasu nie pozwoliła mi natychmiast zadzwonić do Belgii: zaczęłam więc od ankiety w japońskich instytutach żywienia i innych ministerstwach zdrowia, żeby dowiedzieć się, jak zmieniały się nawyki żywieniowe ludności w kwestii masła i jaki wpływ miały te zmiany na krajowy poziom cholesterolu we krwi. Z danych wynikało, że przeciętny Japończyk zjada coraz więcej masła, a otyłość i choroby krążenia szerzą się coraz bardziej w Kraju Wschodzącego Słońca.

Kiedy nadeszła stosowna pora, zadzwoniłam do małej belgijskiej spółdzielni. Po drugiej stronie słuchawki powitał mnie mocny regionalny akcent, który rozczył mnie jak nigdy. Mój rodak, dumny, że rozmawia z Japonią, wykazał się nadzwyczajną kompetencją. Po upływie dziesięciu minut dostałam dwudziestostronicowy faks po francusku, przedstawiający nową metodę obniżania zawartości tłuszczu w maśle, na którą spółdzielnia posiadała patent.

Sporządziłam raport stulecia. Zaczynał się od badania rynku: spożycie masła przez Japończyków, zmiany od 1950 roku, równoległe zmiany zaburzeń zdrowotnych związanych z nadmiernym spożyciem tłuszczu maślane. Potem opisałam dotychczasowe metody odtłuszczania masła oraz nową belgijską technologię, jej znaczne zalety itd. Ponieważ musiałam napisać to po angielsku, zabrałam pracę do domu: terminologia naukowa wymagała użycia słownika. Przez całą noc nie zmrużyłam oka.

Nazajutrz przybyłam do Yumimoto dwie godziny przed czasem, żeby przepisać raport na maszynie i doręczyć go panu Tenshi, a jednocześnie zjawić się punktualnie na swoim stanowisku w biurze pana Saito.

Ten natychmiast wezwał mnie do siebie:

– Przejrzałem kopie, które wczoraj zostawiła mi pani na stoliku. Stwierdziłem pewne postępy, ale praca wciąż jeszcze nie jest doskonała. Proszę to powtórzyć.

I wrzucił plik do kosza.

Schyliłam głowę i wyszłam. Z trudem powstrzymywałam się od śmiechu.

Pan Tenshi przyszedł do mnie, kiedy stałam przy powielaczu. Pogratulował mi z całą serdecznością, na jaką pozwalały mu jego pełna szacunku uprzejmość i rezerwa:

– Pani raport jest znakomity i napisała go pani w nadzwyczajnym tempie. Czy chciałaby pani, żebym na zebraniu wspomniał, kto jest jego autorem?

– W żadnym razie, panie Tenshi. Zaszкодziłoby to zarówno panu, jak i mnie.

– Ma pani rację. Mógłbym jednak, podczas najbliższych zebrań, zasugerować panom Saito i Omochi, że byłaby pani dla mnie użyteczna. Sądzi pani, że pan Saito miałby mi to za złe?

– Wręcz przeciwnie. Proszę spojrzeć na te stosy niepotrzebnych kopii, które każe mi wykonywać po to tylko, żebym mu zeszła z oczu: jasne jest, że chce się mnie pozbyć. Będzie zachwycony, że dostarcza mu pan okazji; nie może mnie ścierpieć.

– Więc nie poczuje się pani dotknięta, jeśli przypiszę sobie autorstwo pani raportu?

Byłam oszołomiona jego zachowaniem: nie musiał okazywać tylu względów nędznemu pionkowi, jakim byłam.

– Ależ panie Tenshi, to dla mnie wielki zaszczyt, że pragnie pan je sobie przypisać.

Rozstaliśmy się z najwyższym obopólnym szacunkiem. Z ufnością pomyślałam o przyszłości. Wkrótce skończą się absurdalne szykany pana Saito, praca przy powielaczu i zakaz używania mojego drugiego języka.

Dramat wybuchł kilka dni później. Zostałam wezwana do gabinetu pana Omochi: udałam się tam bez cienia lęku, nie wiedząc, czego ode mnie chce.

Kiedy weszłam do jaskini wiceprezesa, zobaczyłam siedzącego na krześle pana Tenshi. Zwrócił ku mnie twarz i uśmiechnął się: był to najbardziej przepojony człowieczeństwem uśmiech, jaki zdarzyło mi się widzieć. Zawierał w sobie przekaz: „Czeka nas straszna przeprawa, ale przeżyjemy ją razem”.

Myślałam, że wiem, co to jest opieprz. To, czego doświadczyłam, uświadomiło mi moją ignorancję. Razem z panem Tenshi wysłuchaliśmy bezsensownych wrzasków. Wciąż jeszcze zastanawiam się, co było gorsze: treść czy forma.

Treść była nieprawdopodobnie obraźliwa. Mój towarzysz niedoli i ja zostaliśmy obrzuceni najgorszymi wyzwiskami: byliśmy zdrajcami, ofermami, zmijami, łotrami i – szczyt obelgi – indywidualistami.

Forma tłumaczyła liczne aspekty japońskiej Historii: żeby ustały te ohydne wrzaski, gotowa byłam na najgorsze – napaść na Mandzurię, prześladować tysiące Chińczyków, popełnić samobójstwo w imieniu Cesarza, rzucić mój samolot na amerykański krążownik, może nawet pracować dla dwóch przedsiębiorstw Yumimoto.

Największą przykrość sprawiało mi patrzeć, jak mój dobroczyńca jest z mojej winy upokarzany. Pan Tenshi był człowiekiem inteligentnym i sumiennym: poważnie się dla mnie naraził, w pełni świadom tego, co robi. Nie kierował się żadnym osobistym interesem: powodował nim czysty altruizm. W zamian za jego dobroć mieszano go z błotem.

Próbowałam brać z niego przykład: spuszczał głowę i przepisowo pochylał ramiona. Jego twarz wyrażała uległość i wstyd. Naśladowałam go. Aż nadszedł moment, kiedy grubas zagrzemiał:



– Pana jedynym celem zawsze było sabotowanie firmy!

Przez głowę przeleciało mi błyskawicznie: nie można dopuścić, żeby ten incydent zaszkodził przyszłemu awansowi mojego anioła stróża. Rzuciłam się w grzmiący strumień krzyków wiceprezesa:

– Pan Tenshi nie chciał sabotować firmy. To ja go błagałam, żeby powierzył mi jakąś sprawę. Tylko ja jestem za to odpowiedzialna.

Zdążyłam jedynie zobaczyć, jak mój towarzysz niedoli posyła mi wystraszone spojrzenie. W jego oczach wyczytałam: „Niech pani milczy, na litość boską!” – niestety, było już za późno.

Pan Omochi stał chwilę z otwartymi ustami, po czym zbliżył się do mnie i ryknął mi prosto w twarz:

– Pani ośmiela się bronić!

– Przeciwnie, obciążam się, biorę na siebie całą winę. To mnie i tylko mnie należy ukarać.

– Pani ośmiela się bronić tej zmił!

– Pan Tenshi nie potrzebuje obrony. Pana zarzuty wobec niego są nieprawdziwe.

Zobaczyłam, jak mój dobroczyńca zamyka oczy i pojęłam, że to, co powiedziałam, jest nie do naprawienia.

– Pani ośmiela się twierdzić, że moje słowa są nieprawdziwe? Pani niegrzeczność przechodzi wszelkie granice!

– Nigdy nie ośmieliłabym się twierdzić czegoś podobnego. Myślę tylko, że pan Tenshi powiedział panu rzeczy niezgodne z prawdą, żeby mnie usprawiedliwić.

Z miną człowieka przekonanego, że nic gorszego nie może się już zdarzyć, mój towarzysz niedoli odezwał się. W jego głosie brzmiała najwyższa skrucha:

– Błagam, niech pan się na nią nie gniewa, ona nie wie, co mówi, jest Zachodnioeuropejką, jest młoda, nie ma

żadnego doświadczenia. Popełniłem niewybaczalny błąd. Mój wstyd nie ma granic.

– Faktycznie, nic pana nie tłumaczy! – wydarł się grubas.

– Wielka jest moja wina, muszę jednak podkreślić doskonałość raportu Amélie-san i nadzwyczajną szybkość, z jaką go napisała.

– Nie w tym rzecz! Tę pracę powinien wykonać pan Saitama!

– Był w podróży służbowej.

– Należało poczekać, aż wróci.

– To nowe masło o obniżonej zawartości tłuszczu na pewno interesuje także innych. Zanim pan Saitama wróci z podróży i napisze raport, ktoś może nas wyprzedzić.

– Czy mam rozumieć, że kwestionuje pan jakość pracy pana Saitamy?

– W żadnym wypadku. Ale pan Saitama nie mówi po francusku i nie zna Belgii. Sprawiłoby mu to znacznie większą trudność niż Amélie-san.

– Niech pan zamilknie. Ten ohydny pragmatyzm godny jest człowieka Zachodu.

Uznałam za lekką przesadę, że mówi to bezczelnie tuż pod moim nosem.

– Proszę mi wybaczyć zachodni brak godności. Popełniliśmy błąd, niech będzie. Można by jednak z naszego występku wyciągnąć jakąś korzyść...

Pan Omochi ruszył ku mnie z miną tak przerażającą, że nie dokończyłam zdania:

– Panią natomiast uprzedzam: to był pani pierwszy i ostatni raport. Postawiła się pani w bardzo niekorzystnej sytuacji. A teraz proszę zejść mi z oczu!

Nie trzeba mi było krzyczeć tego dwa razy. W korytarzu doszły mnie jeszcze ryki góry mięsa i pełne skruchy

milczenie ofiary. Potem drzwi otworzyły się i dołączył do mnie pan Tenshi. Razem poszliśmy do kuchni, zdruzgotani obelgami, których musieliśmy wysłuchać.

– Przepraszam, że wciągnąłem panią w tę aferę – powiedział wreszcie pan Tenshi.

– Błagam, panie Tenshi, niech mnie pan nie przeprosza! Do końca życia będę panu wdzięczna. Jest pan tutaj jedyną osobą, która dała mi szansę. Postąpił pan odważnie i wspaniałomyślnie. Wiedziałam to już na początku, wiem to jeszcze lepiej teraz, kiedy przekonałam się, ile to pana kosztowało. Przecenił ich pan: nie należało mówić, że raport jest mój.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem:

– Ja tego nie powiedziałem. Proszę przypomnieć sobie naszą rozmowę: miałem zamiar porozmawiać o tym na samej górze, z panem Hanedą, dyskretnie: to była jedyna szansa, żeby coś osiągnąć. Powiedzenie tego panu Omochi musiało skończyć się katastrofą.

– A więc to pan Saito doniósł o tym wiceprezesowi? Co za świnia, co za kretyn; mógł się mnie pozbyć, zapewniając mi szczęście, ale nie, musiał...

– Proszę nie mówić źle o panu Saito. Jest lepszy niż pani sądzi. I to nie on nas zadenuncjował. Widziałem bilecik na biurku pana Omochi, wiem, kto go napisał.

– Pan Saitama?

– Nie. Naprawdę mam pani powiedzieć?

– Koniecznie!

Westchnął:

– Bilecik podpisany jest przez pannę Mori.

Dostałam obuchem w głowę:

– Fubuki? To niemożliwe.

Mój towarzysz niedoli milczał.

– Nie wierzę! – mówiłam dalej. – Na pewno ten tchórz Saito kazał jej to napisać; nie ma odwagi sam donosić, tylko wysyła pracowników!

– Myli się pani co do pana Saito: jest sztywny, zakompleksiony, trochę ograniczony, ale nie jest złośliwy. Nigdy nie wydałby nas na pastwę wiceprezesa.

– Fubuki nie byłaby zdolna do czegoś takiego!

Pan Tenshi poprzestał na ponownym westchnieniu.

– Czemu miałyby coś takiego zrobić? Nienawidzi pana?

– Och, nie. Nie zrobiła tego przeciwko mnie. Ta sprawa szkodzi przede wszystkim pani. Ja nic na tym nie tracę. Pani traci szanse awansu na bardzo, bardzo długo.

– Nie rozumiem! Zawsze okazywała mi przyjaźń.

– Tak. Dopóki pani zadania polegały na ustawianiu kalendarzy i powielaniu regulaminu klubu golfowego.

– Nie myślała chyba, że chcę zająć jej miejsce!

– Oczywiście. Nigdy się tego nie obawiała.

– W takim razie dlaczego na mnie doniosła? Co jej szkodziło, że będę pracować dla pana?

– Panna Mori czekała latami, zanim otrzymała swoje obecne stanowisko. Pewnie nie mogła pogodzić się z myślą, że pani dostanie taki awans po dziesięciu tygodniach w firmie Yumimoto.

– Nie mogę w to uwierzyć. To byłoby z jej strony wyjątkowo podłe.

– Mogę tylko pani powiedzieć, że naprawdę bardzo się nacierpiała w pierwszych latach pracy tutaj.

– A teraz chce, żeby i mnie spotkał taki sam los! To żałosne. Muszę z nią porozmawiać.

– Naprawdę tak pani uważa?

– Oczywiście. Jak sprawy mogą się ułożyć, jeśli o tym nie porozmawiamy?

– Przed chwilą rozmawiała pani z panem Omochi, kiedy obsypywał nas obelgami. Ma pani wrażenie, że dzięki temu sprawy się ułożyły?

– Jedno jest pewne: jeśli o tym nie porozmawiamy, stracimy wszelkie szanse na rozwiązanie problemu.

– Przeciwnie. Jeśli porozmawiacie, istnieje znaczne ryzyko, że sytuacja się pogorszy.

– Proszę się nie obawiać, nie mam zamiaru pana w to mieszać. Ale muszę porozmawiać z Fubuki. W przeciwnym razie oszaleję.

Panna Mori przyjęła propozycję rozmowy z uprzejmym zdziwieniem. Udała się za mną. Sala zebrań była pusta. Usiadłyśmy.

Zaczęłam głosem łagodnym i pełnym powagi:

– Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami. Nie rozumiem.

– Czego pani nie rozumie?

– Chce pani zaprzeczyć, że mnie zadenuncjowała?

– Nie muszę niczemu zaprzeczać. Postąpiłam zgodnie z regulaminem.

– Regulamin jest dla pani ważniejszy od naszej przyjaźni?

– Przyjaźń to wielkie słowo. Powiedziałabym raczej „dobre koleżeńskie stosunki”.

Wypowiadała te okropne zdania spokojnym, szczerym i życzliwym tonem.

– Rozumiem. Sądzi pani, że nasze stosunki nadal będą dobre, po tym, co pani zrobiła?

– Jeśli się pani wytłumaczy, nie będę żywiła urazy.

– Nie brak pani poczucia humoru, Fubuki.

– To niestychane. Zachowuje się pani jak osoba obrażona, a przecież to pani popełniła poważne wykroczenie.

Podkuśiło mnie, żeby odparować:

– Ciekawe. Sądziłam, że Japończycy różnią się od Chińczyków.

Spojrzała na mnie zaskoczona. Mówiłam dalej:

– Tak. Donosicielstwo uprawiano w Chinach na długo zanim nastał tam komunizm. Jeszcze dzisiaj Chińczycy z Singapuru na przykład zachęcają dzieci, żeby donosiły na kolegów. Myślałam jednak, że Japończycy mają poczucie honoru.

Na pewno ją obraziłam, co było błędem strategicznym.

Uśmiechnęła się:

– Uważa pani, że może dawać mi lekcje moralności?

– Jak pani sądzi, Fubuki, dlaczego poprosiłam panią o rozmowę?

– Z nieświadomości.

– Nie przychodzi pani do głowy, że chciałam, byśmy się pogodziły?

– Dobrze. Niech pani przeprosi, a zapanuje między nami zgoda.

Westchnęłam:

– Jest pani inteligentna i bystra. Dlaczego udaje pani, że nic nie pojmuję?

– Niech pani nie będzie zarozumiała. Bardzo łatwo panią rozszyfrować.

– Tym lepiej. W takim razie rozumie pani moje oburzenie.

– Rozumiem je i potępiam. To ja miałam powody być oburzona pani zachowaniem. Ubiegała się pani o awans, do którego nie miała pani prawa.

– Przyjmijmy, że nie miałam do niego prawa. Ale konkretnie: co pani to szkodziło? Nic pani na tym nie traciła.

– Mam dwadzieścia dziewięć lat, pani ma dwadzieścia dwa. Zajmuję moje stanowisko od ubiegłego roku. Wal-

czyłam o nie całymi latami. A pani, pani wyobrażała sobie, że otrzyma równorzędny stopień w ciągu kilku tygodni?

– Więc o to chodzi! Zależy pani na tym, żebym cierpiała. Nie może pani znieść, że komuś się poszczęściło. To dziecinne!

Zaśmiała się wzgardliwie:

– A pogarszanie swojej sytuacji, jak to pani robi, to ma być dowód dojrzałości? Jestem pani przełożoną. Sądzi pani, że wolno jej rozmawiać ze mną tak niegrzecznie?

– Jest pani moją przełożoną, tak. Niczego mi nie wolno, wiem. Ale chciałam, żeby się pani dowiedziała, jak bardzo czuję się rozczarowana. Żywiłam do pani najwyższy szacunek.

Zaśmiała się wyniośle:

– Ja nie jestem rozczarowana. Nie miałam dla pani szacunku.

Nazajutrz rano, gdy przyszłam do firmy Yumimoto, panna Mori powiadomiła mnie o moim nowym zaszeregowaniu:

– Nie zmienia pani działu, gdyż nadal będzie pani pracować tutaj, w księgowości.

Miałam ochotę się roześmiać:

– Ja mam być księgową? Czemu nie akrobatką?

– Księgowa to za dużo powiedziane. Nie sądzę, żeby pani mogła być księgową – oznajmiła z pełnym politowaniem uśmiechem.

Pokazała mi dużą szufladę, w której jedne na drugich piętrzyły się rachunki z ostatnich tygodni. Następnie wskazała na szafę, gdzie stały ogromne księgi. Na każdej z nich widniał skrót jednego z jedenastu działów Yumimoto.

– Pani praca będzie dziecinnie łatwa, a więc w zasięgu pani możliwości – wyjaśniła pouczającym tonem. – Musi pani najpierw ułożyć rachunki datami. Potem ustali pani, do jakiego działu należy każdy z nich. Weźmy na przykład ten: jedenaście milionów za fiński ementaler – proszę, co za zabawny zbieg okoliczności, to sekcja produktów mlecznych. Bierze pani księgę faktur DP i wpisuje w każdej kolumnie datę, nazwę przedsiębiorstwa, kwotę. Kiedy rachunki są już wciągnięte do księgi i posegregowane, wkłada je pani do tej szuflady.

Rzeczywiście, praca nie była trudna. Nie kryjąc zdziwienia, zapytałam:

– To nie jest z informatyzowane?

– Owszem: pod koniec miesiąca pan Unaji wprowadzi wszystkie rachunki do komputera. Wystarczy, że wpisze to, co pani przygotuje: zajmie mu to niewiele czasu.

W pierwszych dniach miałam czasem wątpliwości co do wyboru ksiąg. Zadawałam pytania Fubuki, która odpowiadała mi uprzejmie, lecz z irytacją:

– Reming Ltd., co to jest?

– Metale nieżelazne. Dział MM.

– Gunzer GmbH, co to takiego?

– Produkty chemiczne. Dział CP.

Bardzo szybko nauczyłam się na pamięć wszystkich firm i działów, z którymi były związane. Zadanie wydawało mi się coraz łatwiejsze. Było nudne jak flaki z olejem, co nawet mnie urządzało, bo mogłam zająć umysł czym innym. I tak, wpisując faktury do ksiąg, unosiłam często głowę, żeby sobie pomarzyć, podziwiając piękne oblicze mojej denuncjatorki.

Mijały tygodnie, a ja stawałam się coraz spokojniejsza. Nazywałam to rachunkową pogodą ducha. Nie było wielkiej różnicy między zajęciem średniowiecznego mnicha kopisty a moim: spędzałam całe dni na przepisywaniu liter



i cyfr. Mój mózg nigdy dotąd nie był tak mało pobudzany, toteż przejawiał niesłychany spokój. Był to zen ksiąg rachunkowych. Przyłapywałam się na myśli, że gdyby następne czterdzieści lat mojego życia miało upłynąć w tym rozkosznym ośpieniu, przyjąłabym to z zadowoleniem.

I pomyśleć, że byłam na tyle głupia, żeby kończyć wyższe studia. Bo przecież trudno sobie wyobrazić coś mniej intelektualnego niż moja mózgowica rozkwitająca przy bezmyślnym powielaniu głupot. Byłam stworzona do życia w zakonie kontemplacyjnym, nareszcie to do mnie dotarło. Wpisywać liczby, wpatrując się w piękno, to dopiero szczęście.

Fubuki miała rację: pomysł pracy z panem Tenshi był nieporozumieniem. Niepotrzebnie napisałam ten raport o maśle. Mój umysł nie należał do gatunku zdobywczych, lecz do gatunku krowich: pał się na łąkach pełnych faktur, czekając, aż spłynie na niego łaska. Jak dobrze żyć bez pychy i bez inteligencji. To była hibernacja.

Pod koniec miesiąca pan Unaji przyszedł wciągnąć moją pracę do komputera. Przez dwa dni przepisywał kolumny cyfr i liter. Cieszyłam się idiotycznie z tego, że stanowią skuteczne ogniwo w łańcuchu.

Przypadek – a może los? – sprawił, że pan Unaji zostawił sobie na koniec księgę faktur CP. Tak jak przy dziesięciu poprzednich, zaczął rutynowo bębnić po klawiaturze. Po kilku minutach usłyszałam, jak krzyczy:

– To nie do wiary! To nie do wiary!

Przewracał kartki z coraz większą wściekłością. Potem ogarnął go nerwowy chichot, który przerodził się w serię krótkich urywanych okrzyków. Czterdziestu członków ogromnego zespołu przyglądało mu się ze zdumieniem.

Poczułam się źle.

Fubuki zerwała się z miejsca i podbiegła do niego. Wyjął ze śmiechu, zaczął jej pokazywać liczne ustępy w księdze. Odwróciła się w moją stronę. Nie udzieliła się jej chorobliwa wesołość kolegi. Trupioblada, kazała mi podejść.

– Co to jest? – spytała sucho, wskazując na jedną z inkryminowanych linijek.

Przeczytałam:

– No, to jest rachunek firmy GmbH z dnia...

– Firmy GmbH? Firmy GmbH! – uniosła się.

Czterdziestu pracowników działu gruchnęło śmiechem. Nie rozumiałam.

– Czy może mi pani wyjaśnić, co to za firma GmbH?

– spytała moja przełożona, krzyżując ręce na piersiach.

– To niemiecka spółka chemiczna, z którą często zawieramy transakcje.

Salwy śmiechu przybrały na sile.

– Nie zauważyła pani, że przed GmbH występuje zawsze jedna lub kilka nazw? – ciągnęła Fubuki.

– Owszem. Są to, jak myślę, nazwy różnych filii. Uznałam, że lepiej będzie nie zaśmiecać księgi takimi szczegółami.

Nawet pan Saito, mimo swojej sztywności, dawał upust rosnącemu rozbawieniu. Fubuki natomiast nadal się nie śmiała. Na jej twarzy malowała się z trudem powstrzymana wściekłość. Gdyby mogła mnie spoliczkować, na pewno by to zrobiła. Głosem ostrym jak szabla ucięła:

– Idiotka! Niech się pani raz na zawsze nauczy, że GmbH jest niemieckim odpowiednikiem angielskiego Ltd. i francuskiego S.R.L. Przedsiębiorstwa, które tak inteligentnie zgrupowała pani pod nazwą GmbH, nie mają ze sobą nic wspólnego! To dokładnie tak, jakby zadowolila się pani pisaniem Ltd., żeby określić wszystkie amerykańskie,

angielskie i australijskie firmy, z którymi współpracujemy!  
Ile czasu zajmie nam teraz naprawianie pani błędów?

Wybrałam najgłupszą z możliwych linię obrony:

– Że też Niemcy musieli sobie wymyślić taki długi skrót na zwykłe S.R.L.!

– No właśnie! Okazuje się, że to wina Niemców, że pani jest głupia?

– Proszę się uspokoić, Fubuki, nie mogłam o tym wiedzieć...

– Nie mogła pani? Pani kraj graniczy z Niemcami, a pani nie mogła wiedzieć tego, co my wiemy, chociaż żyjemy na drugim końcu planety?

Miałam ochotę powiedzieć coś strasznego, co, Bogu dzięki, zachowałam dla siebie: „Może i Belgia graniczy z Niemcami, za to Japonia, w czasie ostatniej wojny, miała z Niemcami znacznie więcej wspólnego niż tylko granicę!”.

Spuściłam głowę, pokonana.

– Niech pani tak nie stoi! Proszę iść odszukać faktury, które w swej wielkiej mądrości od miesiąca składała pani w dziale chemii!

Kiedy otworzyłam szufladę, omal nie parsknęłam śmiechem, stwierdziwszy, że w wyniku moich działań segregator produktów chemicznych osiągnął nieprawdopodobne rozmiary.

Pan Unaji, panna Mori i ja wzięliśmy się do pracy. Trzy dni zajęło nam przywrócenie porządku w jedenastu księgach. Miałam już mocno nadszarpniętą opinię, kiedy zdarzyło się coś jeszcze gorszego.

Pierwszą zapowiedzią kłopotów było lekkie drzenie szerokich barów dzielnego Unaji: oznaczało, że za chwilę zacznie się śmiać. Wibracja sięgnęła torsu, a potem gardła. Wreszcie rozległ się śmiech, a ja dostałam gęsiej skórki.

Fubuki, blada ze złości, spytała:

– Co ona znowu zrobiła?

Pan Unaji pokazał jej najpierw fakturę, potem księgę rachunkową.

Zakryła twarz dłońmi. Zrobiło mi się niedobrze na myśl o tym, co mnie czeka.

Następnie zaczęli przewracać kartki i stawiać znaczki na niektórych rachunkach. W końcu Fubuki złapała mnie za ramię: bez słowa wskazała mi sumy wypisane moim niezrównanym pismem.

– Kiedy znajdą się obok siebie więcej niż cztery zera, nie jest pani zdolna poprawnie przepisać liczby. Za każdym razem dodaje pani lub odejmuje przynajmniej jedno zero!

– No, rzeczywiście.

– Czy zdaje sobie pani sprawę, ile tygodni zajmie nam teraz wychwycenie i poprawienie pani błędów?

– To nie takie proste, te wszystkie następujące po sobie zera...

– Proszę zamilknąć!

Ciągnąc za ramię, wywlokła mnie z pokoju. Weszliśmy do jakiegoś pustego gabinetu – zamknęła za sobą drzwi.

– Nie wstyd pani?

– Bardzo mi przykro – wyjąkałam żałośnie.

– Nieprawda, wcale pani nie jest przykro! Myśli pani, że dam się oszukać? Popęłniła pani te skandaliczne błędy, żeby się na mnie zemścić!

– Przysięgam, że nie!

– Dobrze wiem. Nie może mi pani darować, że doniosłam na panią do wiceprezesa w sprawie produktów mlecznych i postanowiła pani publicznie mnie ośmieszyć.

– Ośmieszam siebie, nie panią.

– Jestem pani bezpośrednią przełożoną i wszyscy wiedzą, że ja powierzyłam pani to zajęcie. Więc to ja odpowiadam za pani czyny. Dobrze pani o tym wie. Postępuje pani równie

nikczemnie jak inni przedstawiciele Zachodu: stawia pani miłość własną ponad interes firmy. Żeby zemścić się za to, co zrobiłam, nie zawahała się pani sabotować księgowości Yumimoto, doskonale wiedząc, że pani winy spadną na mnie!

– Nie miałam o tym pojęcia i nie zrobiłam tych błędów umyślnie!

– Akurat! Nie wątpię, że jest pani mało inteligentna. Jednak nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł być aż tak głupi, by popełnić tak monstrualne błędy!

– Owszem: ja.

– Proszę przestać! Wiem, że pani kłamie.

– Fubuki, daję pani słowo honoru, że nie zrobiłam tego umyślnie.

– Honor! Co pani może wiedzieć o honorze?

Kożeśmiała się wzgardliwie.

– Proszę sobie wyobrazić, że nawet na Zachodzie istnieje coś takiego jak honor.

– Ach tak! I pani uważa, że honorowo jest bezwstydnie twierdzić, że jest pani ostatnią idiotką?

– Nie sądzę, żebym była taka głupia.

– Trzeba ustalić: jest pani albo zakłamana, albo niedorozwinięta – trzeciej możliwości nie ma.

– Właśnie że jest: to ja. Bywa, że normalni ludzie okazują się niezdolni przepisywać kolumny cyfr.

– W Japonii takich ludzi nie ma.

– Ani mi w głowie kwestionować wyższość Japończyków – powiedziałam ze skruszoną miną.

– Jeśli należy pani do kategorii osób upośledzonych umysłowo, trzeba było mi o tym powiedzieć. Nie powierzyłabym pani tego zadania.

– Nie wiedziałam, że należę do tej kategorii. Nigdy w życiu nie przepisywałam kolumn cyfr.

– Swoją drogą to ciekawe upośledzenie. Nie trzeba wiele inteligencji, żeby przepisywać liczby.

– Właśnie: myślę, że na tym polega problem ludzi mojego pokroju. Jeśli nasza inteligencja nie dostaje odpowiednich bodźców, umysł zasypia. Stąd moje omyłki.

Z twarzy Fubuki zniknął bojowy wyraz, ustępując miejsca rozbawionemu zdziwieniu:

– Pani inteligencja potrzebuje bodźców? Jakie to dziwaczne!

– Najnormalniejsze w świecie.

– Dobrze. Zastanowię się nad jakimś zajęciem, które dostarczy bodźców pani inteligencji – powtórzyła moja przełożona, której to określenie najwyraźniej sprawiało przyjemność.

– Czy mogę tymczasem pomagać panu Unaji poprawiać moje błędy?

– W żadnym wypadku! I bez tego dość już narobiła pani szkód!

Nie wiem, ile czasu zajęło mojemu nieszczęsnemu kole-dze doprowadzenie do porządku zafałszowanych moim staraniem ksiąg rachunkowych. Natomiast aż dwa dni zajęło panie Mori znalezienie zajęcia, które wydało się jej w zasięgu moich możliwości.

Na biurku czekał na mnie olbrzymi klaser.

– Będzie pani sprawdzać rozliczenia podróży służbo-wych – powiedziała.

– Znowu księgowość? Przecież uprzedzałam już panią o moich niedostatkach.

– To coś zupełnie innego. Ta praca dostarczy bodźców pani inteligencji – uściśliła z szyderczym uśmiechem.

Otworzyła klaser.

– To są na przykład dokumenty przygotowane przez pana Shiranai i dotyczące zwrotu kosztów podróży służbowej do Düsseldorfu. Musi pani ponownie sprawdzić wszystkie rachunki i zakwestionować te, których wynik nie pokryje się co do jena z pani obliczeniami. W tym celu, ponieważ większość faktur była wystawiana w markach, musi pani rachować uwzględniając kurs marki w danym dniu, zgodnie z datami wydrukowanymi na paragonach. Proszę nie zapominać, że wysokość kursów codziennie się zmienia.

Zaczął się jeden z najgorszych koszmarów mojego życia. Od chwili, kiedy przydzielono mi to nowe zadanie, zniknęło dla mnie pojęcie czasu – jego miejsce zajęła nieustająca męka. Nigdy, przenigdy, nie udało mi się uzyskać wyniku nie tylko identycznego, ale choćby porównywalnego z tymi, które miałam sprawdzać. Na przykład, jeśli urzędnik obliczył, że Yumimoto jest mu winne 93 327 jenów, mnie wychodziło 15 211 albo znowu 172 045 jenów. I bardzo szybko wyszło na jaw, że to moje wyliczenia były błędne.

Pod koniec pierwszego dnia powiedziałam Fubuki:

- Nie sądzę, żebym potrafiła wywiązać się z tego zadania.
- Przecież chodzi o pracę, która dostarcza bodźców inteligencji – odparła nieubłaganie.
- Nie radzę sobie – wyznałam żałośnie.
- Przyzwyczajai się pani.

Nie przyzwyczajaiłam się. Okazało się, że mimo nadludzkich wysiłków nie jestem zdolna wykonywać tych operacji.

Moja przełożona chwyciła segregator, by udowodnić mi, jakie to łatwe. Wzięła plik dokumentów i z piorunującą szybkością zaczęła stukać w klawisze kalkulatora, na które nawet nie musiała patrzeć. W niecałe cztery minuty podsumowała:

- Wychodzi mi taka sama kwota jak panu Saitamie, co do jena.

I przystawiła na sprawozdaniu swoją pieczętkę.

Przygnębiona tą nową niesprawiedliwością losu, ponownie zabrałam się do dzieła. Tak więc dwanaście godzin nie wystarczało mi do zrobienia tego, z czym Fubuki uporała się w trzy minuty pięćdziesiąt sekund.

Nie wiem, ile dni upłynęło, zanim zorientowała się, że nie zweryfikowałam jeszcze żadnego rozliczenia.

– Ani jednego! – wykrzyknęła.

– Niestety – przyznałam, oczekując nagany.

Na moje nieszczęście pokazała mi tylko kalendarz:

– Proszę nie zapominać, że segregator ma być gotów do końca miesiąca.

Wolałabym, żeby zaczęła wrzeszczeć.

Mijały kolejne dni. Przeżywałam istne piekło: bez przerwy bombardowana byłam gradem liczb z przecinkami i miejscami dziesiętnymi. Zlewały się w moim mózgu w nieprzeniknioną magmę, tak że nie mogłam odróżnić jednych od drugich. Okulista zapewnił mnie, że nie jest to sprawa wzroku.

Cyfry, których spokojne pitagorejskie piękno zawsze podziwiałam, stały się moimi wrogami. Kalkulator też pragnął mojej zguby. Jeden z moich psychomotorycznych kłopotów polegał na tym, że kiedy popracowałam na klawiaturze dłużej niż pięć minut, moja ręka stawała się nagle lepka, jakbym ją zanurzyła w gęstym ziemniaczanym purée. Cztery palce odmawiały mi definitywnie posłuszeństwa; tylko wskazujący wysuwał się jeszcze z trudem, żeby powoli i niezręcznie dotknąć klawiszy, co dla każdego, kto nie dostrzegał niewidzialnej brei, musiało się wydawać niezrozumiałe.

A że do tego zjawiska dochodziło jeszcze rzadkie osłupienie w zetknięciu z liczbami, spektakl, jaki dawałam pochylona nad kalkulatorem, musiał wywoływać konsternację. Najpierw patrzyłam na każdą nową liczbę z nie



mniejszym zdziwieniem niż Robinson spotykający tubylca na nieznanym łądzie; potem moja zdrętwiała ręka usiłowała odtworzyć ją na klawiaturze. Przy tej czynności głowa bez przerwy poruszała się między kartką a ekranem, żeby przypadkiem po drodze nie zgubił się jakiś przecinek albo zero – najbardziej zadziwiające było, że mimo tych drobiazgowych kontroli zdarzało mi się przepuszczać kolosalne błędy.

Któregoś dnia, kiedy załośnie stukałam w maszynę, podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak moja zwierzchniczka przygląda mi się ze zdumieniem.

– Na czym polega pani problem? – zapytała.

Żeby ją uspokoić, opowiedziałam jej o syndromie purée ziemniaczanego, które paraliżuje mi rękę. Myślałam, że ta historia zjedna mi jej sympatię.

Jedynym rezultatem mojego zwierzenia była konkluzja, którą wyczytałam w dumnym spojrzeniu Fubuki: „Teraz rozumiem: ona naprawdę jest upośledzona umysłowo. Wszystko jasne”.

Koniec miesiąca zbliżał się nieuchronnie, a segregator wciąż był tak samo gruby.

– Jest pani pewna, że nie robi tego umyślnie?

– Absolutnie pewna.

– Czy w pani kraju... dużo jest ludzi takich jak pani?

Byłam pierwszą Belgijką, z jaką się zetknęła. W przypiływie narodowej dumy odpowiedziałam zgodnie z prawdą:

– Żaden Belg nie jest do mnie podobny.

– To mnie uspokaja.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Uważa pani, że to śmieszne?

– Nikt nie powiedział pani, Fubuki, że nieładnie jest poniżać osoby upośledzone umysłowo?

– Owszem. Ale nie uprzedzono mnie, że jedną z nich przydzielą mi jako pracownika.

Śmiałam się w najlepsze.

– Wciąż nie wiem, co panią tak bawi.

– To jeden z objawów mojej choroby psychomotorycznej.

– Lepiej niech się pani skupi na swojej pracy.

Dwudziestego ósmego oznajmiłam jej moją decyzję niewracania na noc do domu.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałabym spędzać noce w biurze, na swoim stanowisku.

– Pani mózg skuteczniej działa w ciemności?

– Miejmy nadzieję. Może ta nowa sytuacja przywróci mu wreszcie sprawność.

Bez trudu uzyskałam jej zgodę. Nieraz zdarzało się, że pracownicy zostawali w biurze na noc, kiedy trzeba było dotrzymać terminów.

– Sądzi pani, że jedna noc wystarczy?

Na pewno nie. Nie zamierzam wracać do domu przed trzydziestym pierwszym.

Pokazałam jej plecak.

– Przyniosłam niezbędne rzeczy.

Kiedy znalazłam się sama w firmie Yumimoto, ogarnęło mnie pewne upojenie. Prysło bardzo szybko, gdy stwierdziłam, że mój mózg nie funkcjonuje lepiej w nocy. Pracowałam bez wytchnienia: zapał ten nie przyniósł jednak żadnego rezultatu.

O czwartej rano poszłam do łazienki, umyłam się pobieżnie i przebrałam. Wypiłam bardzo mocną herbatę i wróciłam na stanowisko.

Pierwsi pracownicy zjawili się o siódmej. Fubuki przyszła godzinę później. Rzuciła okiem na przegródkę, gdzie

powinny leżeć sprawdzone rachunki i stwierdziła, że wciąż jest pusta. Pokiwała głową.

Po pierwszej nieprzespanej nocy nastąpiła kolejna.

Sytuacja nie uległa zmianie. W mojej głowie panował wciąż ten sam zamęt. Mimo to daleka byłam od rozpacz. Przepelniał mnie niezrozumiały optymizm, który dodawał mi odwagi. Toteż nie przerywając obliczeń, prowadziłam z moją przełożoną rozmowy co najmniej niestosowne:

– W pani imieniu jest śnieg. W japońskiej wersji mojego imienia jest deszcz. To mi się wydaje trafne. Jest między nami taka sama różnica jak między śniegiem a wodą. Co nie przeszkadza, że jesteśmy zrobione z tego samego tworzywa.

– Naprawdę uważa pani, że mamy ze sobą coś wspólnego?

Roześmiałam się. Z powodu braku snu śmiałam się z byle czego. Czasami ogarniały mnie fale zmęczenia i zniechęcenia, lecz zaraz potem zawsze wracała wesołość.

Moja beczka Danaid wciąż wypełniała się liczbami, którym dziurawy umysł pozwalał umknąć. Byłam Syzyfem rachunkowości i jak ten mityczny bohater nigdy nie traciłam nadziei: po raz setny, po raz tysięczny rozpoczynałam wciąż od nowa nieubłagane działania. Przy okazji muszę odnotować następujący cud: myliłam się tysiące razy, co byłoby ogłupiające jak muzyka natrętnie powtarzająca ten sam motyw, gdyby nie fakt, że moje tysiąckrotne omyłki były różnorodne; przy każdym obliczeniu uzyskiwałam tysiąc różnych wyników. Byłam genialna.

Nieraz, między dwiema operacjami dodawania, zdarzało mi się unosić głowę, żeby przyjrzeć się osobie, która skazała mnie na tę galerniczą pracę. Jej piękność mnie olśniewała. Żałowałam tylko, że półdługie włosy w wyniku starannego wymodelowania zakłęte były w niewzruszony

kształt, którego surowość zdawała się mówić: „Jestem *executive woman*”. Wtedy oddawałam się rozkosznemu zajęciu: w myślach burzyłam jej fryzurę. Błyszczącym czarnym włosom przywracałam wolność. Moje niematerialne palce nadawały im uroczo niedbały wygląd. Czasem się wyżywałam, doprowadzałam jej włosy do takiego stanu, że sprawiała wrażenie, jakby właśnie spędziła szaloną miłosną noc. Ta dzikość dodawała jej wzniosłości.

Któregoś razu Fubuki zaskoczyła mnie w trakcie tych wyimaginowanych fryzjerskich zabiegów.

– Czemu pani tak na mnie patrzy?

– Myślałam, że po japońsku „włosy” i „bóg” mają to samo brzmienie.

– „Papier” też, proszę nie zapominać. Niech pani wraca do swoich papierów.

Moje umysłowe rozkojarzenie pogłębiało się z godziny na godzinę. Coraz mniej zdawałam sobie sprawę z tego, co powinnam mówić, a czego nie. Kiedy szukałam kursu korony szwedzkiej na dzień 20/2/1990, moje usta same zapytały:

– Kim pani chciała zostać, kiedy była pani mała?

– Mistrzynią w strzelaniu z łuku.

– To by do pani pasowało!

Ponieważ nie odwzajemniła pytania, brnęłam dalej:

– Ja, kiedy byłam mała, chciałam stać się Bogiem. Bogiem chrześcijan, przez duże B. Kiedy miałam około pięciu lat, zrozumiałam, że moja ambicja jest niemożliwa do spełnienia. Spuściłam więc nieco z tonu i postanowiłam zostać Chrystusem. Wyobrażałam sobie swoją śmierć na krzyżu na oczach całej ludzkości. W wieku siedmiu lat uświadomiłam sobie, że to mi się nie przydarzy. Założyłam, z większą skromnością, że zostanę męczennicą. Trzymałam się tego wyboru przez dobrych kilka lat. Też nic z tego nie wyszło.

– A potem?

– Potem pani wie: zostałam księgową w Yumimoto. I myślę, że niżej nie można upaść.

– Tak pani myśli? – spytała z dziwnym uśmiechem.

Nadeszła noc z trzydziestego na trzydziestego pierwszego. Fubuki wyszła ostatnia. Zastanawiałam się, dlaczego mnie nie zwolniła: było aż nazbyt jasne, że nie ukończę nawet setnej części mojej pracy.

Zostałam sama. Była to trzecia z rzędu bezsenna noc w olbrzymim biurze. Stukałam na kalkulatorze i zapisywałam coraz dziwniejsze wyniki.

Wtedy zdarzyło mi się coś cudownego: mój umysł opuścił ciało.

Nagle poczułam, że nie jestem już do niczego przykuta. Wstałam. Byłam wolna. Nigdy przedtem nie miałam takiego poczucia wolności. Podeszłam do wielkiego okna. Rozjarzone światłami miasto rozciągało się nisko pod moimi stopami. Byłam Bogiem. Wyrzuciłam moje ciało przez okno, żeby mieć je z głowy.

Zgasiłam jarzeniówki. Dalekie światła miasta wystarczyły, żeby dobrze widzieć. Poszłam do kuchni po butelkę coca-coli, którą wypiałam duszkiem. Po powrocie do działu księgowości rozwiązałam sznurowadła i zrzuciłam buty. Wskoczyłam na jakieś biurko, a potem skakałam z jednego na drugie, wydając okrzyki radości.

Czułam się tak lekka, że ubranie mi ciążyło. Kolejno ściągałam różne jego części i rozrzucałam wokół siebie. Kiedy byłam całkiem naga, stanęłam na głowie – ja, której przez całe życie nigdy nie udało się tego zrobić. Na rękach przebiegłam przez sąsiednie pomieszczenia. Potem wykonałam doskonałego fikołka, podskoczyłam i wylądowałam na miejscu mojej przełożonej.

Fubuki, jestem Bogiem. Nawet jeśli we mnie nie wierzysz, jestem Bogiem. Ty dowodzisz, co nie jest wielką rzeczą. Ja króluję. Władza mnie nie interesuje. Królować jest o tyle piękniej. Nie masz pojęcia o mojej chwale. To bardzo przyjemne, chwała. To koncert na trąbkę grany przez anioły na moją cześć. Nigdy nie czułam swojej chwały tak jak dzisiejszej nocy. To wszystko dzięki tobie. Gdybyś wiedziała, jak bardzo pracujesz na moją chwałę!

Poncjusz Piłat także nie wiedział, że przyczynia się do triumfu Chrystusa. Mógł być Chrystus w ogrójcu, teraz ja jestem Chrystusem w sali komputerowej. W otaczającym mnie mroku piętrzy się las wysokopiennych komputerów.

Patrzę na twój komputer, Fubuki. Jest wielki i wspaniały. W ciemnościach wygląda jak posąg z Wyspy Wielkanocnej. Minęła północ: dzisiaj jest piątek, mój Wielki Piątek, po francusku dzień bogini Wenus, po japońsku dzień złota; nie potrafię znaleźć związku pomiędzy tym judeochrześcijańskim cierpieniem, romańską namiętnością a japońską adoracją nieskazitelnego metalu.

Odkąd rozstałam się ze świeckim życiem, by wstąpić do zakonu, czas stracił wszelką konsystencję i przeobraził się w kalkulator, na którym wystukuję pełne błędów liczby. Mam wrażenie, że jest Wielkanoc. Z wierzchołka mojej wieży Babel patrzę na park Ueno i widzę ośnieżone drzewa: kwitnące wiśnie – tak, musi być Wielkanoc.

O ile Boże Narodzenie mnie przygnębia, Wielkanoc mnie raduje. Bóg, który staje się niemowlęciem, to żenujące. Biedny facio, który staje się Bogiem, to zupełnie co innego. Obejmuję komputer Fubuki i obsypuję go pocałunkami. Ja też jestem biedną ukrzyżowaną. To, co mi się podoba w ukrzyżowaniu, to fakt, że oznacza ono koniec. Wreszcie przestanę cierpieć. Zasyпали moje ciało tyłoma

liczbami, że nie zostało już miejsca dla najmniejszej dziesiętnej. Obetną mi głowę szablą i nic już nie będę czuła.

To duża rzecz wiedzieć, kiedy się umrze. Można wszystko zorganizować i z ostatniego dnia uczynić dzieło sztuki. Rano nadejdą moi oprawcy, a ja im powiem: „Zawiodłam! Zabijcie mnie. Wypełnijcie moją ostatnią wolę: niech śmierć zada mi Fubuki. Niech mi odkręci głowę jak zakrętkę pieprzniczki. Poleje się moja krew i będzie to czarny pieprz. Bierzcie i jedzcie, to jest bowiem mój pieprz, który zostanie rozsypany za was i za miliony, pieprz nowego i wiecznego przymierza. Kichajcie na moją pamiątkę”.

Nagle ogarnia mnie chłód. Na próżno ściskam w ramionach komputer, to mnie nie rozgrzewa. Wkładam z powrotem ubranie. Ponieważ wciąż szczękam zębami, kładę się na podłodze i wysypuję na siebie zawartość kosza. Tracę przytomność.

Ktoś na mnie krzyczy. Otwieram oczy i widzę nad sobą śmieci. Zamykam oczy.

Znowu zapadam w otchłań.

Słyszę słodki głos Fubuki:

– To cała ona. Przykryła się odpadkami, żebyśmy nie śmieli jej ruszyć. Zrobiła z siebie nietykalną. To zupełnie w jej stylu. Nie ma żadnej godności. Kiedy jej mówię, że jest głupia, odpowiada, że jest jeszcze gorzej, że jest upośledzona umysłowo. Musi się stale ponizować. Sądzi, że w ten sposób stawia się poza zasięgiem. Bardzo się myli.

Mam ochotę wyjaśnić, że to dla ochrony przed zimnem. Nie mam siły mówić. Leżę w cieple pod brudami Yumimoto. Zapadam się znowu.

Ocknęłam się. Przez warstwę zmiętych papierów, puszek, mokrych od coli petów zobaczyłam zegar, który wskazywał dziesiątą rano.

Wstałam. Nikt nie odważył się na mnie spojrzeć, oprócz Fubuki, która oznajmiła chłodno:

– Następnym razem, kiedy postanowi pani przebrać się za żebraczkę, proszę nie robić tego w naszym biurze. Od tego są stacje metra.

Chora ze wstydu złapałam plecak i pobiegłam do łazienki, gdzie zmieniłam ubranie i umyłam pod kranem głowę. Kiedy wróciłam, sprzątaczką usunęła już ślady mojego obłędu.

– Chciałam to zrobić sama – powiedziałam, zakłopotana.

– Tak – skomentowała Fubuki. – Może przynajmniej to umiałaby pani zrobić.

– Ma pani na myśli weryfikację kosztów. Rzeczywiście: to przerasta moje możliwości. Oświadczam uroczyście, że rezygnuję z tej pracy.

– Zajęło to pani sporo czasu – zauważyła szyderczo.

Więc o to chodziło – pomyślałam. – Chciała, żebym to ja powiedziała. Oczywiście: to znacznie bardziej upokarzające.

– Termin upływa dziś wieczór – dodałam.

– Proszę mi dać ten segregator.

Po dwudziestu minutach zakończyła pracę.

Spędziłam dzień jak zombi. Miałam kaca. Na moim biurku wały się sterty kartek pokrytych błędami rachunkowymi. Wyrzucałam je jedną po drugiej.

Kiedy patrzyłam na Fubuki pracującą na swoim komputerze, nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Widziałam siebie poprzedniego dnia, jak siedzę na klawiaturze i obejmuję maszynę ramionami i nogami. A teraz ta



młoda kobieta kładzie palce na klawiszach. Po raz pierwszy zainteresowałam się informatyką.

Kilka godzin snu pod śmieciami nie wystarczyło, żeby wyciągnąć mnie z papki, jaką nadmiar cyfr zrobił z mojego mózgu. Taplałam się w niej, szukając trupów moich myślowych punktów odniesienia. Jednocześnie rozkoszowałam się cudowną odmianą: po raz pierwszy od niekończących się tygodni nie bębniłam w kalkulator.

Odkrywałam na nowo świat bez liczb. Skoro istnieje coś takiego jak analfabetyzm, powinien istnieć też anarytmetyzm, żeby opisać specyficzny dramat ludzi mojego pokroju.

Wróciłam do swojego stulecia. Może się wydać dziwne, że po mojej szalonej nocy wszystko potoczyło się znowu, jakby nie wydarzyło się nic ważnego. Wprawdzie nikt nie widział, jak na golasa, chodząc na rękach, przemieszczałam się po biurze, ani jak obcałowywałam porządny komputer, mimo to jednak znaleziono mnie śpiącą pod zawartością kosza na śmieci. W innym kraju pewnie wyrzucono by mnie z pracy za takie zachowanie.

Jest w tym pewna logika: najbardziej autorytarne systemy wywołują w społeczeństwach, gdzie są stosowane, najbardziej spektakularne odchylenia – i, co za tym idzie, względną tolerancję dla ludzkich dziwactw. Nie wie, kim jest dziwak, kto nie spotkał dziwaka japońskiego. Spałam pod śmieciami? Nie takie rzeczy tu widziano. Japonia jest krajem, który wie, co to znaczy, że komuś „odbija”.

Powróciłam znowu do swoich drugoplanowych ról. Nie potrafię opisać rozkoszy, z jaką przygotowywałam herbatę i kawę: te proste czynności nie wymagające od mózgownicy żadnego wysiłku działały na mój umysł jak balsam.

Najdyskretniej, jak to było możliwe, zaczęłam znowu ustawiać kalendarze. Przez cały czas starałam się sprawiać wrażenie bardzo zajętej, w obawie, że znowu zasadzą mnie do rachunków.

Pewnego dnia zdarzyło się coś nadzwyczajnego: spotkałam Boga. Nikczemny wiceprezes zażyczył sobie piwa, uważając widocznie, że nie jest jeszcze dość spasiony. Przyniosłam mu je z uprzejmą odrazą. Wychodziłam właśnie z jaskini grubasa, kiedy otworzyły się drzwi sąsiedniego gabinetu: znalazłam się oko w oko z prezesem.

Spojrzeliśmy na siebie ze zdumieniem. Z mojej strony było to zrozumiałe: wreszcie dane mi było ujrzeć Boga Yumimoto. Z jego strony trudniej to wytłumaczyć: czy w ogóle wiedział o moim istnieniu? Chyba tak, skoro zawołał głosem szaleńczo pięknym i delikatnym:

– Pani jest na pewno Amélie-san!

Uśmiechnął się i wyciągnął do mnie rękę. Byłam tak oszołomiona, że nie mogłam wydać z siebie głosu. Pan Haneda był mężczyzną koło pięćdziesiątki, o szczupłej sylwetce i niezwykle wytwornej twarzy. Emanowała z niego głęboka dobroć i harmonia. Spojrzał na mnie z tak niekłamaną uprzejmością, że do reszty straciłam kontenans.

Odszedł. Stałam sama w korytarzu, niezdolna zrobić kroku. A więc prezesem miejsca katuszy, gdzie codziennie znosiłam idiotyczne upokorzenia, gdzie byłam przedmiotem wzgardy, panem tego piekła jest ten wspaniały człowiek, ta szlachetna dusza!

Nie byłam w stanie tego pojąć. Firma kierowana przez kogoś tak wybitnego powinna być wysublimowanym rajem, krainą szczęścia i harmonii. W czym więc tkwiła tajemnica? Czy to możliwe, by Bóg rządził otchłanią piekielną?

Stałam tak znieruchomiała ze zdziwienia, kiedy nadeszła odpowiedź na moje pytanie. Drzwi gabinetu monstrual-

nego Omochi otworzyły się i rozległ się wrzask niegodziwca:

– Co pani tu jeszcze robi? Nie płacę pani za wystawanie w korytarzu!

Wszystko stało się jasne: w spółce Yumimoto prezes był Bogiem, wiceprezes zaś Diabłem.

Fubuki natomiast nie była ani Diabłem, ani Bogiem: była Japonką.

Nie wszystkie Japonki są piękne. Ale kiedy któraś z nich zaczyna być piękna, pozostałe powinny siedzieć jak trusie i nie wychylać się.

Piękność jest zawsze uderzająca, ale japońska piękność nie ma sobie równych. Po pierwsze dlatego, że cera jak płatek lilii, łagodne oczy, niezrównane skrzydełka nosa, wyraźnie zarysowane wargi, cała ta złożona słodycz rysów wystarczą, by przyćmić najprzystojniejsze twarze.

Po drugie, ponieważ maniery nadają Japonce styl, czyniąc z niej niezrównane dzieło sztuki.

Wreszcie i przede wszystkim, ponieważ uroda, która wytrzymała tyle fizycznych i umysłowych ograniczeń, tyle przykazań, naginań, absurdalnych zakazów, dogmatów, tłamszenia, spustoszeń, sadyzmu, zmowy milczenia i upokorzeń – taka uroda jest aktem bohaterstwa.

Nie twierdzę, że Japonka jest ofiarą, skądże znowu. W porównaniu z innymi kobietami żyjącymi na naszej planecie nie znajduje się w najgorszej sytuacji. Jej władza jest znaczna: wiem coś na ten temat.

Nie. Jeśli trzeba podziwiać Japonkę – a trzeba – to dlatego, że nie popełnia samobójstwa. Od najwcześniejszego dzieciństwa wszyscy działają przeciwko niej. Wbijają jej do głowy: „Jeśli do dwudziestego piątego roku życia nie

wyjdiesz za mąż, będziesz miała powody do wstydu”, „jeśli będziesz się śmiała, dasz dowód złego wychowania”, „jeśli twoja twarz wyraża jakiegokolwiek uczucie, jesteś wulgarna”, „jeśli wspomnisz, że istnieje na twoim ciele choćby jeden włos, jesteś nieprzyzwoita”, „jeśli jakiś chłopiec publicznie pocałuje cię w policzek, jesteś dziwką”, „jeśli jesz z przyjemnością, jesteś świnią”, „jeśli spanie sprawia ci przyjemność, jesteś krową” itd. Te reguły byłyby może nawet i śmieszne, gdyby nie odciskały piętna na umyśle.

Gdyż w efekcie, za pośrednictwem tych idiotycznych pewników, wmawia się Japonce, że nie powinna liczyć na nic dobrego. Nie licz na to, że będziesz przeżywać rozkosz, gdyż ona cię unicestwi. Nie licz na to, że się zakochasz, gdyż na to nie zasługujesz. Ci, którzy mogliby cię pokochać, pokochaliby cię taką, za jaką chcesz uchodzić, nigdy taką, jaką naprawdę jesteś. Nie licz na to, że życie cokolwiek ci przyniesie, gdyż każdy rok będzie ci coś ujmował. Nie licz nawet na coś tak zwykłego jak spokój, gdyż z jakiej racji miałabyś być spokojna.

Licz na to, że będziesz pracować. Z uwagi na płeć nie ma wielkich szans, że zajdziesz wysoko, ale może staniesz się użyteczna dla swojego przedsiębiorstwa. Pracując, będziesz zarabiać pieniądze, które nie dadzą ci radości, ale może okażą się pomocne w zawarciu małżeństwa – bo nie jesteś chyba tak głupia, by sądzić, że ktoś cię zechce dla twoich wewnętrznych zalet.

Poza tym możesz liczyć na to, że dożyjesz późnej starości, co przecież nie ma żadnego znaczenia, i że nie spotka cię hańba, co jest celem samym w sobie. Na tym kończy się lista tego, na co wolno ci liczyć.

Tu zaczyna się nieprzerwany korowód twoich jałowych obowiązków. Będziesz musiała być nieskazitelna dlatego tylko, że to drobiazg. Bycie nieskazitelną nie przyniesie ci

nic innego poza tym, że będziesz nieskazitelna, co nie jest ani powodem do dumy, ani szczególną przyjemnością.

Nigdy nie zdołam wymienić wszystkich twoich obowiązków, gdyż w każdej minucie życia podlegasz jednemu z nich. Na przykład kiedy znajdziesz się na osobności w toalecie z przyziemnego powodu ulżenia pęcherzowi, musisz czuwać nad tym, by nikt nie usłyszał ciurkania twojej strużki: będziesz zatem zmuszona bez przerwy spuszczać wodę.

Wymieniam ten przypadek, żebyś zrozumiała: jeśli nawet tak intymne i mało ważne dziedziny twojej egzystencji podlegają kontroli, pomyśl tylko, jak doniosłe nakazy ciążyć będą na istotnych aspektach twojego życia.

Jesteś głodna? Jedz tylko trochę, bo musisz pozostać szczupłą – nie po to, żeby ludzie oglądali się za tobą na ulicy – ale dlatego, że to wstyd mieć tu i ówdzie krągłości.

Twoim obowiązkiem jest być piękną. Jeśli to ci się uda, twoja uroda nie przysporzy ci żadnej przyjemności. Jedyne komplementy, jakie usłyszysz, pochodzić będą od ludzi Zachodu, a wiadomo, że ci pozbawieni są gustu. Jeśli podziwiasz w lustrze swoje powaby, niech towarzyszy ci strach, a nie zadowolenie: gdyż uroda przyniesie ci tylko lęk przed jej utratą. Jeśli jesteś ładną dziewczyną, nie będziesz nikim specjalnym; jeśli nie jesteś ładna, będziesz mniej niż niczym.

Twoim obowiązkiem jest wyjść za mąż, najlepiej przed ukończeniem dwudziestu pięciu lat, które stanowią twoją datę ważności. Twój mąż nie obdarzy cię miłością, chyba że okaże się głupcem, a być kochaną przez głupca to nie powód do szczęścia. Zresztą bez względu na to, czy kocha cię, czy nie, nie będziesz go widywała. O drugiej w nocy jakiś zmęczony i często pijany mężczyzna zjawi się w domu, by zwalić się na małżeńskie łóżko, które opuści o szóstej rano, nie zamieniwszy z tobą słowa.

Twoim obowiązkiem jest mieć dzieci; będziesz je traktować jak bóstwa, dopóki nie osiągną trzech lat, to jest wieku, kiedy zniemacka wygnasz je z raju i oddasz do służby wojskowej, która trwać będzie od trzeciego do osiemnastego, a potem od dwudziestego piątego roku życia aż do śmierci. Zmuszona jesteś wydawać na świat istoty, które będą tym bardziej nieszczęśliwe, im więcej zakosztują szczęścia przez pierwsze trzy lata życia.

Uważasz, że to okropne? Nie ty pierwsza tak myślisz. Tobie podobne kobiety myślą tak od roku 1960. Jak dotąd, nic to nie dało. Wiele z nich zbuntowało się i ty też może się zbuntujesz w jedynym wolnym przedziale twojego życia, między osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem. Ale w wieku dwudziestu pięciu lat zorientujesz się nagle, że nie jesteś mężatką i ogarnie cię wstyd. Porzucisz ekscentryczne stroje, by wbić się w schludny kostium, białe rajstopy i groteskowe czółenka, gładkie włosy poddasz żalosnemu modelowaniu i odetchniesz z ulgą, gdy ktoś – mąż albo pracodawca – cię zechce.

Gdybyś jednak przypadkiem, co jest bardzo mało prawdopodobne, zawarła małżeństwo z miłości, będziesz jeszcze bardziej nieszczęśliwa, widząc, jak twój mąż cierpi. Lepiej, żebyś go nie kochała: to pozwoli ci nie przejmować się upadkiem jego ideałów, jeśli on jeszcze je posiada. Na przykład pozwolono mu mieć nadzieję, że będzie kochany przez kobietę. A przecież szybko się przekona, że go nie kochasz. Jak mogłabyś kogokolwiek kochać, mając serce unieruchomione w gipsie? Wpojono ci zbyt wiele wyrachowania, abyś mogła kochać. Jeżeli kogoś kochasz, to znaczy, że cię źle wychowano. W pierwszych dniach po ślubie będziesz udawać mnóstwo różnych rzeczy. A trzeba przyznać, że żadna kobieta nie potrafi udawać tak dobrze jak ty.

Twoim obowiązkiem jest poświęcać się dla innych. Nie myśl jednak, że twoje poświęcenie uszczęśliwi tych, któ-

rych nim obdarzysz. Sprawi tylko, że nie będą się z twojego powodu rumienili. Nie masz żadnej szansy ani na to, by być szczęśliwą, ani na to, by kogokolwiek uszczęśliwić.

A gdyby nawet, wyjątkowym zbiegiem okoliczności, twój los wymknął się jednej z tych reguł, nie wnioskuj, broń Boże, że zwyciężyłaś: wnioskuj z tego, że się mylisz. Zresztą przekonasz się o tym bardzo szybko, gdyż złudzenie zwycięstwa bywa przelotne. I nie ciesz się chwilą: pozostaw tę iluzję ludziom Zachodu. Chwila jest niczym, twoje życie jest niczym. Nie liczy się żaden okres poniżej dziesięciu tysięcy lat.

Jeśli to może cię pocieszyć, nikt nie uważa cię za mniej inteligentną od mężczyzny. Jesteś błyskotliwa, to rzuca się w oczy wszystkim, także tym, którzy traktują cię tak podle. Jednakże, gdy się dobrze zastanowić, co w tym pocieszającego? Gdyby uważano cię za gorszą, twoje piekło dałoby się przynajmniej wytłumaczyć i mogłabyś wyrwać się z niego, udowadniając, zgodnie z prawami logiki, doskonałość twojego mózgu. Tymczasem wiadomo, że jesteś równa, a nawet lepsza: twoja gehenna jest więc absurdalna, co oznacza, że nie ma z niej żadnej drogi wyjścia.

Owszem: jest jedna. Jedna jedyna i masz do niej pełne prawo, chyba że zrobiłaś głupstwo i przeszłaś na chrześcijaństwo: masz prawo popełnić samobójstwo. Wszyscy wiemy, że w Japonii jest to czyn wielce honorowy. Niech ci się jednak nie wydaje, że zaświaty są jednym z tych rajskich miejsc opiewanych przez sympatycznych przedstawicieli Zachodu. Po drugiej stronie nie ma nic nadzwyczajnego. Dla równowagi pomyśl jednak o ważnej kwestii, która jest tego warta: twojej pośmiertnej reputacji. Jeśli popełnisz samobójstwo, będzie ona znakomita i dostarczy twoim bliskim powodów do dumy. W grobowcu rodzinnym dostaniesz poczesne miejsce: to najwyższa nadzieja, jaką żywić może istota ludzka.

Oczywiście możesz nie popełniać samobójstwa. Ale wtedy, wcześniej czy później, nie wytrzymasz i ściągniesz na siebie jakąś hańbę: weźmiesz kochanka, zaczniesz się obżerać albo oddasz lenistwu – kto to może przewidzieć. Zauważyliśmy, że ludziom w ogóle, a kobietom w szczególności trudno jest długo wyżyć bez popadania w którąś ze skłonności związanych z przyjemnością cielesną. Jeśli jednak wystrzegamy się tej ostatniej, to wcale nie przez purytanizm: ta amerykańska obsesja jest nam najzupełniej obca.

Tak naprawdę lepiej unikać przyjemności, gdyż przez nie człowiek się poci. A nie ma nic bardziej wstydliviego niż pot. Jeśli łapczywie jesz talerz gorących klusek, jeśli oddajesz się seksualnym szaleństwom, jeśli spędzasz zimę drzemiąc przy piecu, będziesz się pocić. I nikt już nie będzie miał wątpliwości, że jesteś wulgarna.

Mając wybór między samobójstwem a poceniem, nie wahaj się. Przelewać własną krew jest równie godne podziwu, jak pocić się jest godne potępienia. Jeśli zadasz sobie śmierć, nigdy już nie będziesz się pociła i na zawsze pozbędziesz się strachu.

Nie sądzę, żeby los Japończyka był bardziej do pozazdrosczenia. Szczerze mówiąc, myślę, że wręcz przeciwnie. Japonka ma przynajmniej możliwość wyrwania się z piekła pracy w przedsiębiorstwie, wychodząc za mąż. A niepracowanie w japońskiej firmie jest niewątpliwie celem samym w sobie.

Japończyk tymczasem nie jest do końca zindoktrynowany. Nie wytrzebiono w nim, od najmłodszych lat, wszelkiego śladu ideału. Dysponuje jednym z podstawowych praw człowieka: prawem do marzenia, prawem do



nadziei. I korzysta z tych praw. Wyobraża sobie utopijne światy, w których jest panem i cieszy się wolnością.

Japonka, jeśli jest dobrze wychowana – a jest tak w przypadku większości z nich – nie ma takiej możliwości. Odjęto jej, rzecz by można, tę podstawową zdolność. Dlatego też wyrażam mój najgłębszy podziw dla każdej Japonki, która nie popełniła samobójstwa. Pozostawanie przy życiu jest z jej strony szczytnym i bezinteresownym przejawem oporu i odwagi.

Tak sobie myślałam, patrząc na Fubuki.

– Czy można by wiedzieć, co pani robi? – spytała cierpko.

– Marzę. Pani się to nie zdarza?

– Nigdy.

Uśmiechnęłam się. Pan Saito został ojcem drugiego dziecka, chłopca. Jedną z cudownych właściwości języka japońskiego jest to, że można w nieskończoność tworzyć nowe imiona, wychodząc od każdej części mowy. Jednym z dziwactw, jakich kultura japońska dostarcza liczne przykłady, jest obdarzanie tych, którym nie wolno marzyć, imionami, które pobudzają do marzeń, jak na przykład Fubuki. Rodzice pozwalają sobie na najsubtelniejsze wzloty, kiedy chodzi o znalezienie imienia dla dziewczynki. Kiedy natomiast trzeba nadać imię chłopcu, wytwory działalności imienniczej często zdradzają zabawny brak pomysłu.

I tak, ponieważ można wybrać jako imię czasownik w formie bezokolicznikowej, pan Saito nazwał swojego syna Tsutomeru, co oznacza „pracować”. I myśl o tym dziecku, którego tożsamość określał taki program, budziła moją wesołość.

Wyobrażałam sobie, jak za kilka lat do wracającego ze szkoły chłopca matka zawoła: „Pracować! Pora pracować!”. A jeśli zostanie bezrobotnym?

Fubuki była bez zarzutu. Jej jedyna wada polegała na tym, że w wieku dwudziestu dziewięciu lat nie miała męża. Nie ulega wątpliwości, że wstydziła się tego. Tymczasem, jeśli się dobrze zastanowić, fakt, że tak piękna młoda kobieta nie znalazła męża, świadczył o tym, że była bez zarzutu. Że z niezwykłą gorliwością wcielała w życie szczytną regułę, która posłużyła za imię synowi pana Saito. Od siedmiu lat Fubuki całe swoje życie poświęcała pracy. Nie bez efektów, ponieważ uzyskała rzadki w przypadku istoty płci żeńskiej awans zawodowy.

Jednak przy takim rozkładzie czasu było zupełnie niemożliwe, by wstąpiła w związki małżeńskie. Oczywiście nikt nie postawiłby jej zarzutu, że za dużo pracuje, ponieważ w oczach Japończyka nigdy nie pracuje się za dużo. Przewidziany dla kobiet regulamin wykazywał zatem pewien brak spójności: bycie bez zarzutu poświęcone bez reszty pracy prowadziło do tego, że kobieta przekraczała wiek dwudziestu pięciu lat, nie wyszedłszy za mąż, a co za tym idzie, przestawała być bez zarzutu. Szczyt sadyzmu tego systemu przejawiał się w jego aporii: przestrzeganie go prowadziło do tego, by go nie przestrzegać.

Czy Fubuki wstydziła się swojego przedłużonego celibatu? Na pewno. Zbyt była przeczulona na punkcie doskonałości, żeby pozwolić sobie na najmniejsze odstępstwo od obowiązujących reguł. Zastanawiałam się, czy miewa czasem jakichś przelotnych kochanków: pewne było, że nie szczyłaby się tą zbrodnią obrazy nadeshiko (nadeshiko, „goździk”, symbolizuje nostalgiczny ideał młodej dziewiczej Japonki). Ja, która znałam jej rozkład czasu, nie widziałam tam miejsca na najzwyczajszą nawet przygodę.

Obserwowałam jej zachowanie, kiedy miała do czynienia z nieżonatym mężczyzną – ładnym czy brzydkim, młodym czy starym, miłym czy antypatycznym, inteligentnym czy głupim, nieważne, byleby nie stał niżej w hierarchii naszego czy też swojego przedsiębiorstwa: moja przełożona robiła się nagle tak wyzywająco słodka, że niemal agresywna. Jej oszalałe ze zdenerwowania dłonie zjeżdżały po omacku na szeroki pasek, który miał tendencję do przekręcania się na zbyt szczupłej talii i ustawiały pośrodku przesuniętą na bok klamrę. Jej głos stawał się tak pieszczotliwy, że zaczynał przypominać jęk.

W moim wewnętrznym słowniczku nazwałam to zjawisko „weselną paradą panny Mori”. Przyglądanie się, jak mój kat robi te małpie grymasy, które obniżają zarówno jej urodę, jak klasę, miało w sobie coś komicznego. Nie mogłam jednak powstrzymać ukłucia w sercu, tym bardziej że samcy, przed którymi odgrywała tę patetyczną próbę uwodzenia, nawet jej nie dostrzegali, a co za tym idzie, byli na nią absolutnie nieczuli. Czasami miałam ochotę potrząsnąć nimi i wykrzyknąć: „Ty, zdobądź się przynajmniej na uprzejmość! Nie widzisz, ile trudu zadaje sobie dla ciebie? Zgoda, nie wychodzi jej to na korzyść, ale gdybyś wiedział, jaka jest ładna, kiedy się nie kryguje! O wiele za ładna dla ciebie. Powinieneś płakać z radości, że taka perła zwraca na ciebie uwagę”.

Co się tyczy Fubuki, miałam wielką ochotę jej powiedzieć: „Przestań! Naprawdę myślisz, że ten twój idiotyczny cyrk wywrze na nim wrażenie? Jesteś o wiele bardziej pociągająca, kiedy mi ublizasz i traktujesz mnie jak nieświeżą rybę. Jeśli to ci pomoże, wyobraź sobie, że on to ja. Mów do niego myśląc, że zwracasz się do mnie: będziesz wtedy pełna pogardy, wyniosła, powiesz mu, że jest chory umysłowo, że do niczego się nie nadaje – i zobaczysz, nie pozostanie obojętny”.

Przede wszystkim jednak miałam ochotę wyszeptać jej do ucha: „Czy nie lepiej pozostać samą do końca swoich dni, niż obciążać się tym wymoczkim? Co byś zrobiła z takim mężem? Jak możesz wstydzić się, że nie poślubiłaś jednego z tych mężczyzn, ty, która jesteś wzniosła, olimpijska, ty, która jesteś arcydziełem tej planety? Oni wszyscy są od ciebie niżsi: nie sądzisz, że to jest znak? Jesteś zbyt wielkim łukiem dla tych nędznych łuczników”.

Kiedy mężczyzna-zdobycz odchodził, z twarzy mojej przełożonej błyskawicznie zniknęła minoderia, a jej miejsce zajmował najwyższy chłód. Dość często zdarzało się wtedy, że jej wzrok napotykał moje drwiące spojrzenie. Zaciskała usta z nienawiścią.

W zaprzyjaźnionym z Yumimoto przedsiębiorstwie pracował pewien dwudziestosiedmioletni Holender, Piet Kramer. Mimo że nie był Japończykiem, osiągnął w hierarchii służbowej ten sam status co moja dręczycielka. Ponieważ mierzył metr dziewięćdziesiąt, pomyślałam sobie, że mógłby stanowić dla Fubuki odpowiednią partię. I rzeczywiście, kiedy przechodził przez nasze biuro, z miejsca rozpoczynała gorączkową paradę weselną, przesuwając pasek na wszystkie strony.

Był to poczciwy facet o sympatycznym wyglądzie. Pasował do niej tym bardziej, że był Holendrem: to quasi-germańskie pochodzenie sprawiało, że jego przynależność do białej rasy nie stanowiła aż takiego obciążenia.

Pewnego dnia powiedział do mnie:

– Ma pani szczęście, że pracuje z panną Mori. Ona jest taka uprzejma!

Rozbawiło mnie to oświadczenie. Postanowiłam je wykorzystać: powtórzyłam słowa Holendra mojej koleżance,

uśmiechając się ironicznie, kiedy wspominałam o jej „u-przejmości”. Dodałam:

– To znaczy, że się w pani kocha.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Naprawdę?

– Nie mam najmniejszej wątpliwości – zapewniłam.

Przez kilka chwil nie wiedziała, co powiedzieć. Na pewno myślała sobie: „Jest Biała, zna zwyczaje Białych. Raz jeden mogłabym jej zaufać. Lepiej jednak, żeby niczego się nie domyślała”.

Przybrała chłodny wyraz i oznajmiła:

– Jest dla mnie za młody.

– Ma zaledwie dwa lata mniej niż pani. Według japońskiej tradycji to idealna różnica, żeby była pani anesan niobo, „żoną-starszą siostrą”. Japończycy uważają, że to najlepszy związek: kobieta ma ciut więcej doświadczenia od mężczyzny. Dzięki temu mężczyzna czuje się swobodnie.

– Wiem, wiem.

– W takim razie, co mu pani może zarzucić?

Zamilkła. Widać było, że zapada w trans.

Kilka dni później zapowiedziano przyjście Pieta Kramera. Młodą kobietę ogarnął straszny niepokój.

Na nieszczęście było bardzo gorąco. Holender zdjął marynarkę i pod pachami jego koszuli dały się dostrzec rozległe plamy potu. Zobaczyłam, jak Fubuki zmienia się na twarzy. Starła się mówić normalnie, jakby niczego nie zauważyła. Jej słowa brzmiały jednak tym bardziej fałszywie, że chcąc wydobyć z gardła jakikolwiek dźwięk, musiała za każdym razem wysuwać głowę do przodu. I ta, którą zawsze znałam jako piękną i opanowaną, teraz przypominała broniącą się perliczkę.

Wykonując te wszystkie żalosne gesty, zerknęła ukradkiem na kolegów. Jej ostatnią nadzieją było, że niczego

nie zauważyli: niestety, jak przekonać się, czy ktoś coś zauważył? A zwłaszcza czy zauważył Japończyk? Twarze urzędników Yumimoto wyrażały obojętną życzliwość typową dla spotkań między dwiema zaprzyjaźnionymi firmami.

Najśmieszniejsze było, że Piet Kramer w najmniejszym stopniu nie był świadom skandalu, jaki wywołał, ani wewnętrznego kryzysu dławiącego jakże uprzejmą pannę Mori. Jej nozdrza drgały: nietrudno było domyślić się z jakiego powodu. Chodziło o ustalenie, czy pachowa hańba Holendra objawia się pod obiema postaciami.

Wtedy właśnie nasz sympatyczny Bataw, sam o tym nie wiedząc, zaprzepaścił szansę przyczynienia się do rozwoju eurazjatyckiej rasy: zauważywszy na niebie sterowiec, pobiegł do okna. Ten szybki ruch spowodował w otaczającym powietrzu eksplozję cząsteczek zapachowych, które podmuch wywołany biegiem rozproszył po całym pokoju. Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości: pot Pieta Kramera śmierdział.

Każdy w tym olbrzymim pomieszczeniu mógł to teraz stwierdzić. A dziecinny entuzjazm chłopaka wobec reklamowego sterowca, który regularnie latał nad miastem, nikogo szczególnie nie rozculił.

Kiedy woniejący cudzoziemiec sobie poszedł, moja przełożona była blada jak ściana. Jej los miał się jednak jeszcze pogorszyć. Kierownik działu, pan Saito, pierwszy rzucił:

– Nie wytrzymałbym ani minuty dłużej!

W ten sposób dał przyzwolenie na obmowę. Inni natychmiast z tego skorzystali:

– Czy ci Biali zdają sobie sprawę, że cuchną trupem?

– Gdyby udało nam się uświadomić im, że śmierdzą, zyskalibyśmy na Zachodzie niesamowity rynek zbytu dla skutecznych dezodorantów!

– Moglibyśmy jedynie przyczynić się do tego, żeby mniej śmierdzieli, ale nie żeby przestali się pocić. To już taka rasa.

– U nich poca się nawet piękne kobiety.

Pokładali się ze śmiechu. Nikomu nie przyszło do głowy, że ich słowa mogą mi sprawiać przykrość. W pierwszej chwili poczułam się zaszczyczona: widocznie nie uważali mnie za Białą. Szybko jednak nadeszło otrzeźwienie: rozmawiali tak w mojej obecności, ponieważ się nie liczyłam.

Żaden z nich nie domyślał się nawet, co ten epizod oznacza dla mojej przełożonej: gdyby nikt nie podniósł zapachowego skandalu z Holendrem, mogłaby jeszcze robić sobie nadzieję i przymknąć oczy na tę wrodzoną wadę potencjalnego narzeczonego.

Teraz wiedziała, że nic nie będzie jej mogło łączyć z Pietem Kramerem: jakikolwiek związek z nim byłby czymś gorszym niż utrata reputacji, oznaczałby utratę twarzy. Mogła czuć się szczęśliwa, że oprócz mnie, która się nie liczyłam, nikt nie wiedział o zamiarach, jakie żywiła wobec tego kawalera.

Z wysoko uniesioną głową i zaciśniętymi szczękami wróciła do pracy. Z napięcia, jakie wyrażała jej twarz, mogłam odczytać, jak wielkie nadzieje wiązała z tym mężczyzną: miałam w tym pewien udział. Zachęciłam ją. Gdyby nie ja, czy w ogóle by o nim poważnie pomyślała?

Toteż cierpienie jej było w znacznym stopniu spowodowane przeze mnie. Pomyślałam, że powinno mi to sprawiać przyjemność. Nie odczuwałam żadnej.

Nie pełniłam już funkcji księgowej od nieco ponad dwóch tygodni, kiedy wybuchł dramat.

Wyglądało na to, że w firmie Yumimoto kompletnie o mnie zapomniano. Było to najlepsze, co mogło mi się przytrafić. Zaczynałam się prawdziwie cieszyć. Przy moim niesłychanym braku ambicji nie wyobrażałam sobie szczęśliwszego losu niż siedzieć przy swoim biurku, kontemplując zmiany na twarzy zwierzchniczki. Podawanie herbaty i kawy, regularne rzucanie się z okna i nieużywanie kalkulatora, wszystko to składało się na działalność, która zaspokajała moją bardziej niż nikłą potrzebę znalezienia sobie miejsca w społeczeństwie.

I kto wie, czy moja osoba nie leżałaby tak odłogiem po wsze czasy, gdybym nie popełniła czegoś, co wypada nazwać gafą.

Koniec końców zasłużyłam na swoją sytuację. Zadałam sobie trud udowodnienia przełożonym, że moja dobra wola nie przeszkadza mi być kataklizmem. Teraz zrozumieli. Ich milcząca polityka była zapewne taka: „Byle tylko niczego nie dotykała!”. A ja potrafiłam stanąć na wysokości tego nowego zadania.

Pewnego dnia usłyszeliśmy dobiegające z oddali grzmoty: to ryczał pan Omochi. Grzmoty przybliżyły się. Popatrywaliśmy na siebie z lękiem.

Drzwi wiodące do działu księgowości ustąpiły jak stara tama pod naciskiem masywnego cielska wiceprezesa, który wtoczył się do pokoju. Zatrzymał się pośrodku i głosem olbrzyma domagającego się śniadania zawołał:

– Fubuki-san!

W ten sposób dowiedzieliśmy się, kto padnie ofiarą grubasa. Po kilku sekundach ulgi, którą odczuły osoby chwilowo oszczędzone, zebranych przeszył zbiorowy dreszcz szczerzej empatii.



Moja przełożona natychmiast zerwała się z miejsca i wyprężyła. Patrzyła prosto przed siebie, a zatem w moim kierunku, nie widząc mnie jednak. Z dumnie podniesionym czołem, przewyciężając strach, oczekiwała tego, co nastąpi.

Przez chwilę myślałam, że pan Omochi wyjmie ukrytą między dwiema fałdami tłuszczu szpadę i utnie jej głowę. Gdyby ta potoczyła się w moją stronę, podniosłabym ją i wielbiła do końca moich dni.

Jednak nie – pocieszałam się – to metody z innej epoki. Postąpi jak zwykle: wezwie ją do swojego gabinetu i zmyje jej głowę.

Zrobił o wiele gorzej. Może był w bardziej niż zwykle sadystycznym nastroju? A może dlatego, że ofiara była kobietą, w dodatku bardzo piękną, zmieszał ją z błotem nie w swoim gabinecie, ale na miejscu, na oczach czterdziestu pracowników działu księgowości.

Nie sposób sobie wyobrazić większego upokorzenia dla jakiegokolwiek istoty ludzkiej, a co dopiero dla Japończyka, a co dopiero dla dumnej i wyniosłej panny Mori, niż to publiczne poniżenie. Potwór chciał, żeby straciła twarz, to było oczywiste.

Podszedł do niej powoli, jakby delektując się z góry potęgą swej niszczącej mocy. Fubuki nawet nie drgnęła powieka. Była jeszcze wspanialsza niż zwykle. Potem opasłe wargi zaczęły drżeć i gruchnęła z nich salwa niekończących się wrzasków.

Tokijczycy mają skłonność do mówienia z ponaddziesiękową szybkością, zwłaszcza kiedy się kłóca. Wiceprezes zaś, nie dość, że pochodził ze stolicy, to jeszcze był cholerycznym grubasem, co sprawiało, że mówił niewyraźnie: w efekcie z potoku słownej agresji, jakim zalał moją przełożoną, zrozumiałam niewiele.

Jednak nawet gdybym nie znała japońskiego, dotarłoby do mnie, co się dzieje: o trzy metry ode mnie traktowano istotę ludzką w sposób absolutnie niegodny. Było to ohydne widowisko. Dużo bym dała, żeby się skończyło, ono jednakże trwało: wydobywający się z brzucha oprawcy ryk zdawał się niewyczerpany.

Jaką zbrodnię mogła popełnić Fubuki, żeby zasłużyć na taką karę? Nigdy się tego nie dowiedziałam. Ale przecież znałam swoją koleżankę: jej kompetencje, zapał do pracy i sumienność zawodowa były zupełnie wyjątkowe. Jeśli dopuściła się jakichś uchybień, z pewnością nie były one poważne. A nawet gdyby były, należało wziąć pod uwagę szczególną wartość tej nadzwyczajnej kobiety.

Niewątpliwie zastanawianie się, na czym polegał błąd mojej przełożonej, świadczyło o mojej naiwności. Najbardziej prawdopodobne było, że nie miała sobie nic do zarzucenia. Pan Omochi był szefem: wolno mu było, jeśli tak mu się podobało, skorzystać z najdrobniejszego pretekstu, żeby wyładować swoje sadystyczne skłonności na tej wyglądającej jak modelka dziewczynie. Nie musiał się przed nikim tłumaczyć.

Pomyślałam sobie nagle, że jestem świadkiem epizodu z życia seksualnego wiceprezesa: czy przy swoich gabarytach zdolny był jeszcze sypiać z kobietami? Jego masa natomiast sprawiała, że tym głośniej mógł się wydzierać: swymi wrzaskami wprawiał w drżenie kruchą sylwetkę ślicznotki. W rzeczywistości gwałcił pannę Mori, a dając upust swoim najniższym instynktom w obecności czterdziestu osób, do rozkoszy dodawał przyjemność ekshibicjonizmu.

To spostrzeżenie było trafne: moja przełożona zachwiała się. A przecież była twardym człowiekiem, istnym

uosobieniem dumy: to, że jej ciało uległo, dowodziło, że była przedmiotem napaści o charakterze seksualnym. W pewnej chwili nogi odmówiły jej posłuszeństwa jak umęczonej kochance: osunęła się na krzesło.

Gdybym miała tłumaczyć symultanicznie wystąpienie pana Omochi, brzmiałoby ono następująco:

– Tak, ważę sto pięćdziesiąt kilo, a ty pięćdziesiąt, razem ważymy dwa kwintale i to mnie podnieca. Sadło utrudnia mi ruchy, niełatwo mi będzie doprowadzić cię do orgazmu, ale dzięki mojej masie mogę cię przewrócić, zmiażdżyć, uwielbiam to, zwłaszcza przy tych wszystkich kretynach, którzy na nas patrzą. Podoba mi się twoja urażona duma i to, że nie możesz się bronić – uwielbiam ten rodzaj gwałtu!

Prawdopodobnie nie ja jedna zrozumiałam, co się dzieje: koledzy wokół mnie też czuli się nieswojo. W miarę możliwości odwracali wzrok i starali się ukryć zażenowanie za zasłoną papierów lub za ekranem komputera.

Fubuki siedziała teraz zgięta we dwoje. Szczupłe łokcie oparła na biurku, zaciśnięte w pięści dłonie podtrzymywały czoło. Serie słów wylatujących z ust wiceprezesa w regularnych odstępach jak z karabinu maszynowego wstrząsały jej plecami.

Na szczęście nie byłam na tyle głupia, żeby dać ponieść się temu, co w istniejącej sytuacji powinno być zwykłym odruchem: potrzebie interwencji. Nie ulega wątpliwości, że pogorszyłabym tylko los ofiary, nie mówiąc o moim własnym. Nie mogę jednak powiedzieć, żebym czuła się dumna, że zachowałam się tak rozsądnie. Honor polega najczęściej na tym, że robi się coś głupiego. Lecz czy nie lepiej postąpić jak dureń, niż się pohańbić? Jeszcze dziś rumienię się ze wstydu, że

przedłożyłam rozwałę nad przyzwolitość. Ktoś powinien był wstawić się za nią, a że nie było najmniejszej szansy, żeby ktoś taki się znalazł, to ja powinnam była się poświęcić.

Oczywiście moja zwierzchniczka nigdy by mi tego nie wybaczyła, ale nie miałyby racji: czy nie gorsze było, że patrzyliśmy nie reagując na ten upokarzający spektakl, że tak całkowicie poddawaliśmy się władzy?

Powinnam była zmierzyć, jak długo trwała awantura. Oprawca miał mocne płuca. Odnosiłam wrażenie, że z czasem jego krzyki stają się coraz głośniejsze. Co dowodziło, jeśli w ogóle trzeba było czegoś dowodzić, hormonalnego charakteru sceny: jak lubieżnik, któremu w ferworze seksualnych uniesień przybywa coraz to nowych sił, wiceprezes robił się coraz brutalniejszy, a jego wrzaski stawały się coraz bardziej wściekłe i wręcz fizycznie unicestwiałały nieszczęsną.

Na koniec zdarzyła się rzecz kompletnie rozbijająca: jak zapewne zdarza się to ofiarom gwałtu, Fubuki cofnęła się w czasy dzieciństwa. A może to tylko ja usłyszałam słaby głosik, głosik ośmioletniej dziewczynki, który dwukrotnie zajęczał:

– Okoruna. Okoruna.

Jest to dziecinne powiedzonko, słowa, jakich użyłaby mała dziewczynka, przeciwstawiając się ojcu, należy więc do rejestru językowego, jakim nigdy nie posługiwała się panna Mori, zwracając się do zwierzchnika:

– Nie gniewaj się. Nie gniewaj się.

Błaganie równie śmieszne jak prośba poszarpanej na kawałki i na wpół zjedzonej gazeli apelującej do drapieżnika, by ją oszczędził. Lecz przede wszystkim rażące naruszenie dogmatu poddania, zakazu bronięcia się przed tym, co przychodzi z góry. Pan Omochi wydał się lekko

zbity z tropu tym nieznanym głosikiem, co nie przeszkodziło mu rozedrzyć się na całego: może nawet to dziecinne zachowanie sprawiło mu jeszcze większą przyjemność.

Po upływie wieczności potwór albo znudził się swoją zabawką, albo to orzeźwiające ćwiczenie obudziło w nim apetyt na podwójnego sandwicha z majonezem, dość że się oddalił.

W dziale księgowości zapanowała grobowa cisza. Nikt oprócz mnie nie śmiał spojrzeć na ofiarę. Ta przez kilka minut siedziała załamana, a kiedy znalazła w sobie siły, by wstać, bez słowa uciekła.

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, dokąd pobiegła: dokąd idą zgwałcone kobiety? Tam, gdzie jest woda, gdzie można zwymiotować, gdzie jest możliwie najmniej ludzi. Miejscem, które najlepiej spełniało te wymagania, w budynku Yumimoto była ubikacja.

I wtedy popełniłam gafę.

Krew się we mnie wzburzyła: muszę ją jakoś pocieszyć. Na próżno usiłowałam wybić to sobie z głowy, myśląc o upokorzeniach, jakich mi nie szczędziła, o obelgach, jakie rzucała mi w twarz – śmieszne współczucie wzięło górę. Śmieszne, podtrzymuję to określenie, bo jeśli chodzi o działanie wbrew zdrowemu rozsądkowi, znacznie lepiej bym postąpiła, wkraczając między Omochi a moją przełożoną. Byłoby to przynajmniej odważne z mojej strony. Tymczasem to, co w końcu zrobiłam, było po prostu miłe i głupie.

Pobiegłam do toalety. Fubuki płakała nad umywalką. Chyba nie zauważyła, że wchodzę. Niestety usłyszała, jak mówię:

– Fubuki, tak mi przykro! Współczuję pani z całego serca. Współczuję pani.

Już miałam do niej podejść, wyciągając pocieszycielską dłoń, gdy zobaczyłam jej oszalały z gniewu wzrok. Zmienionym patologicznie głosem krzyknęła:

– Jak pani śmie? Jak pani śmie?

Zapewne nie byłam tego dnia w pełni władz umysłowych, ponieważ zaczęłam jej tłumaczyć:

– Nie chciałam pani przeszkadzać. Chciałam tylko zapewnić panią o mojej przyjaźni...

W porywie nienawiści odepchnęła moją rękę i zawołała:

– Niech pani zamilknie! Niech pani natychmiast stąd wyjdzie!

Najwyraźniej nie miałam na to ochoty, gdyż stałam w miejscu, oszołomiona.

Ruszyła na mnie – z jej prawego oka zionęła Hiroszima, z lewego Nagasaki. Nie miałam wątpliwości: gdyby mogła mnie zabić, nie wahałaby się ani chwili.

W końcu zrozumiałam, co powinnam zrobić: dałam nogę.

Wróciłam do mojego biurka i spędziłam resztę dnia udając, że coś robię, a jednocześnie zastanawiając się nad ogromem mojej głupoty.

Fubuki została dotkliwie upokorzona na oczach kolegów. Jediną rzeczą, którą mogła przed nami ukryć, ostatnim bastionem honoru, który mogła uratować, były jej łzy. Wykazała dość siły, żeby nie rozplakać się przy nas.

A ja, spryciara, poszłam zobaczyć, jak płacze w swojej kryjówce. Jakbym chciała do końca nasycić się jej hańbą. Nigdy nie będzie zdolna pojąć, dopuścić do siebie, przyjąć, że moje postępowanie wypływało z dobroci, choćby i najgłupszej.

Godzinę później ofiara wróciła i zasiadła przy swoim biurku. Nikt na nią nie spojrział. Ona spojrzała na mnie:

jej suche już oczy nienawistnie przeszyły mnie na wylot. Było w nich napisane: „Poczekaj no tylko”.

Potem podjęła przerwana pracę, jak gdyby nigdy nic, dając mi czas na zinterpretowanie wyroku.

Było jasne, że w jej mniemaniu mój postępek był czystym odwetem. Wiedziała, że w przeszłości pastwiła się nade mną. Nie miała wątpliwości, że moim jedynym celem była zemsta. Żeby odplacić jej pięknym za nadobne, poszłam do toalety popatrzeć sobie, jak płacze.

Tak bardzo chciałam wyprowadzić ją z błędu, powiedzieć: „Zgoda, to było głupie i niezręczne, ale błagam, niech mi pani uwierzy: powodowało mną jedynie poczciwe i niemądre poczucie człowieczeństwa. Jakiś czas temu miałam do pani żal, to prawda, ale kiedy zobaczyłam panią tak niegodziwie upokorzoną, ogarnęło mnie głębokie współczucie. Jest pani taka inteligentna: jak może pani wątpić, że jest w tym przedsiębiorstwie, nie, na całej planecie, ktoś, kto w równym stopniu jak ja panią ceni, podziwia i poddaje się pani władzy?”.

Nigdy nie dowiem się, jak by zareagowała, gdybym złożyła jej takie oświadczenie.

Następnego dnia Fubuki przywitała mnie z twarzą, na której malował się olimpijski spokój. Otrząsnęła się, czuje się lepiej – pomyślałam.

Oznajmiła poważnym tonem:

– Mam dla pani nowe zadanie. Proszę za mną.

Wyszłam za nią z pokoju. Czulałam się trochę nieswojo: a więc moje nowe zadanie wykonywać będę poza działem księgowości? Co też to może być? Gdzie ona mnie prowadzi?

Mój lęk skonkretyzował się, kiedy stwierdziłam, że kierujemy się w stronę ubikacji. Nie – pomyślałam. – Na pewno w ostatniej chwili skęcimy w prawo albo w lewo, żeby wejść do innego pokoju.

Nie wykonałyśmy żadnego zwrotu (przez sztag ani przez rufę). Rzeczywiście zaciągnęła mnie do toalety.

Na pewno przyprowadziła mnie w to odosobnione miejsce, żebyśmy sobie wyjaśniły, co wczoraj zaszło – pomyślałam.

Nic z tych rzeczy. Oświadczyła najspokojniej w świecie:

– To jest pani nowe stanowisko.

Z pewną siebie miną, w niezwykle profesjonalny sposób pokazała mi gesty, które teraz będę wykonywać. Chodziło o wymianę rolki „suchego i czystego ręcznika” do wycierania rąk, kiedy ten zostanie całkowicie zużyty; chodziło też o zapewnianie świeżych dostaw papieru toaletowego do kabin – w tym celu powierzyła mi cenne klucze do magazynu, gdzie te cuda były przechowywane, z dala od zakusów pracowników przedsiębiorstwa Yumimoto.

Szczyt został osiągnięty, kiedy piękność delikatnie ujęła w dłonie szczotkę klozetową, żeby z całą powagą wytłumaczyć mi, jak należy się nią posługiwać – czyżby sądziła, że tego nie wiem? Nigdy bym nie przypuszczała, że będzie mi dane ujrzeć tę boginię dzierżącą w dłoniach taki przyrząd. W dodatku po to, by wręczyć mi go jako moje nowe berło.

Absolutnie osłupiała zadałam pytanie:

– Czyje miejsce zajmuję?

– Niczyje. Sprzątaczkę wykonują te czynności wieczorem.

– Odeszły?



– Nie. Tylko, jak zapewne pani zauważyła, ich nocna praca bywa niewystarczająca. Nierzadko zdarza się, że w ciągu dnia zabraknie suchego ręcznika, w którejś z kabinek skończy się papier toaletowy, albo znów jakaś miska klozetowa czeka zabrudzona aż do wieczora. To krępujące, zwłaszcza gdy przyjmujemy urzędników spoza Yumimoto.

Przez chwilę zastanawiałam się, czemu dla pracownika Yumimoto bardziej krępujące było patrzeć na miskę zabrudzoną przez osobę spoza przedsiębiorstwa niż przez któregoś z kolegów. Nie zdążyłam znaleźć odpowiedzi na to pytanie, gdyż Fubuki zamknęła sprawę:

– Odtąd, dzięki pani, nie będziemy już musieli znosić tych niedogodności.

I poszła sobie. Zostałam sama na miejscu mojego awansu. Oszołomiona stałam nieruchomo z opuszczonymi rękami. Wtedy właśnie drzwi otworzyły się znowu i ukazała się Fubuki. Jak w teatrze, wróciła, żeby zakomunikować mi najważniejsze:

– Zapomniałam: oczywiście zakres pani obowiązków obejmuje także toaletę dla panów.

Podsumujmy. Kiedy byłam mała, chciałam zostać Bogiem. Szybko zrozumiałam, że są to zbyt duże wymagania i do mojego mszalnego wina dolałam trochę święconej wody: będę Jezusem. Wkrótce uświadomiłam sobie, że to też przerost ambicji i zgodziłam się przyjąć rolę męczennicy, kiedy będę duża.

Jako dorosła osoba postanowiłam być mniejszą megalomanką i pracować jako tłumaczka w japońskim przedsiębiorstwie. Niestety, funkcja ta przerastała moje siły i musiałam spaść o szczebel niżej, by zostać księgową.

Moja gwałtowna degrengolada na tym się jednak nie zakończyła. Zostałam przydzielona na stanowisko popychadła. Na nieszczęście – powinnam była się tego spodziewać – rola popychadła także przerastała moje siły. I wtedy właśnie dostałam swój ostateczny przydział: sprzątajacej kible.

Można wpaść w zachwyty, śledząc tę nieubłaganą drogę bóstwa wiodącą do ubikacji. O śpiewaczce, która może przejść od sopranu do kontraltu, mówi się, że ma dużą skalę głosu: pozwolę sobie podkreślić niesłychaną skalę moich talentów umożliwiającą mi śpiewanie we wszystkich rejestrach, zarówno boskim, jak babci klozetowej.

Gdy otrząsnęłam się ze zdumienia, pierwszą rzeczą, jaką odczułam, była dziwna ulga. Dobrą stroną czyszczenia brudnych klozetów jest to, że nie trzeba się już obawiać, iż upadnie się jeszcze niżej.

Rozumowanie Fubuki można by zapewne streścić w ten sposób: „Latasz za mną do toalety? Doskonale. Zostaniesz tam”.

Zostałam.

Domyślałam się, że każdy na moim miejscu złożyłby wymówienie. Każdy, tylko nie Japończyk. Przydzielenie mi tego stanowiska przez moją przełożoną stanowiło próbę zmuszenia mnie do odejścia z pracy. Tymczasem zwolnić się znaczyłoby stracić twarz. Mycie kibli, w oczach Japończyka, nie było chwalebnyim zajęciem, ale nie było też utratą twarzy.

Z dwojga złego należy wybrać to mniejsze. Podpisałam umowę na rok. Wygasła 7 stycznia 1991. Mieliśmy czerwiec. Wytrzymam. Zachowam się jak Japonka.

Pod tym względem nie odbiegałam od reguły: każdy cudzoziemiec pragnący wtopić się w Japonię stawia sobie za punkt honoru przestrzeganie obyczajów Cesarstwa. Należy zauważyć, że działa to tylko w jedną stronę: Japończycy, którzy tak łatwo buntują się przeciwko naruszeniu własnych norm, są znacznie bardziej wyrozumiali dla własnych odstępstw od cudzych zasad.

Byłam świadoma tej niesprawiedliwości, a jednak się jej podporządkowywałam. Najbardziej niezrozumiałe ludzkie zachowania często mają swoje źródło w jakiejś młodszej fascynacji: kiedy byłam dzieckiem, piękno japońskiego świata tak mocno mnie naznaczyło, że w swoim postępowaniu nadal czerpałam z tego uczuciowego zbiornika. Teraz miałam przed oczyma ohydę systemu, który przeczył wszystkiemu, co kochałam, a jednak pozostawałam wierna wartościom, w które już nie wierzyłam.

Nie straciłam twarzy. Przez siedem miesięcy wytrwałam na posterunku w toaletach przedsiębiorstwa Yumimoto.

Zaczęło się więc nowe życie. Jakkolwiek może się to wydać dziwne, nie miałam wrażenia, że osiągnęłam dno. To zajęcie było w sumie o wiele lepsze niż funkcja księgowej – mam na myśli moje stanowisko kontrolerki kosztów podróży służbowych. Gdybym miała do wyboru całodzienne wydobywanie z kalkulatora coraz to bardziej schizofrenicznych liczb i wydobywanie rolek papieru higienicznego z magazynu, nie wahałabym się ani chwili.

Na obecnym stanowisku w pełni panowałam nad sytuacją. Mój upośledzony mózg radził sobie z zadaniami, jakie przed nim stawiano. Nie chodziło już o ustalanie kursu marki z 19 marca, żeby przeliczyć na jeny rachunek za pokój hotelowy, a następnie porównać moje wyniki

z wynikami zainteresowanego i dojść, dlaczego jemu wychodziło 23 254, a mnie 499 212. Trzeba było przetwarzać brud w czystość i dbać, żeby nie brakowało papieru.

Higiena sanitarna idzie w parze z higieną umysłową. Tym, którzy uznają za niegodne to, że podporządkowałam się podłej decyzji, winna jestem następujące wyjaśnienie: nigdy, ani przez chwilę, w czasie tych siedmiu miesięcy nie doznałam uczucia upokorzenia.

Od momentu, kiedy otrzymałam to niesłychane zaseregowanie, wkroczyłam w inny wymiar istnienia: świat czystego nonsensu. Domyślałam się, że był to z mojej strony odruch samozachowawczy: żeby wytrzymać siedem miesięcy, które miałam tam spędzić, musiałam zmienić system odniesień, odwrócić o 180 stopni to, co dotychczas było dla mnie drogowskazem.

Dzięki zbawczemu działaniu mechanizmów odpornościowych to wewnętrzne przestawienie odbyło się błyskawicznie. Od razu w mojej głowie brudne stało się czystym, oprawca stał się ofiarą, a to, co wstrętne stało się komiczne.

Podkreślałam to ostatnie słowo: przeżyłam w tym przybytku najzabawniejszy okres mojego życia, w którym przecież takowych nie brakowało. Rano, kiedy metro wiozło mnie do wieżowca Yumimoto, już świetnie bawiłam się na samą myśl o tym, co mnie czeka. A kiedy rozpoczynałam urzędowanie, musiałam walczyć z przystępami niepohamowanego śmiechu.

W biurze na stu mężczyzn przypadało nie więcej niż pięć kobiet, wśród których Fubuki jako jedyna osiągnęła status wyższej urzędniczki. Pozostawały więc trzy pracownice, które pracowały na niższych piętrach: ja zo-

stałam przydzielona tylko do toalet na czterdziestym czwartym poziomie. W efekcie wygodka dla kobiet na czterdziestym czwartym piętrze stanowiła poniekąd obszar zarezerwowany dla mojej przełożonej i dla mnie.

Nawiasem mówiąc, moje topograficzne ograniczenie do czterdziestego czwartego piętra dowodziło absolutnej bezsensowności mojej nominacji. Skoro to, co wojskowi nazywają elegancko „śladami hamowania”, stanowiło taki problem dla odwiedzających, nie rozumiem, dlaczego nie przeszkadzało na czterdziestym trzecim czy na czterdziestym piątym.

Nie użyłam tego argumentu. Gdybym to zrobiła, zapewne powiedziano by mi: „Słusznie. Od dziś ustępy na innych piętrach także będą leżeć w pani gestii”. Moje ambicje zadowolily się czterdziestym czwartym.

Przewartościowanie, jakiego w sobie dokonałam, nie było czystą ułudą. Fubuki poczuła się upokorzona tym, co zapewne uznała za przejaw mojej siły bezwładu. Było jasne, że liczyła na moje odejście. Zostając, wycięłam jej niezły numer. Dyshonor wracał do niej rykoszetem.

Oczywiście nigdy nie przyznała się do porażki. Miałam jednak tego dowody.

Na przykład zdarzyło się, że w toalecie męskiej natknęłam się na pana Hanedę we własnej osobie. Spotkanie to wywarło duże wrażenie na nas obojgu: na mnie, ponieważ trudno sobie wyobrazić Boga w takim miejscu; na nim zapewne, bo nie wiedział o moim awansie.

Przez chwilę uśmiechał się, sądząc, że przy moim legendarnym roztargnieniu pomyliłam wygodki. Przestał się uśmiechać, kiedy zobaczył, jak zdejmuję rolkę ręcznika, który nie był już ani suchy, ani czysty, aby zastąpić ją nową. Wtedy zrozumiał i nie śmiał już na mnie spojrzeć. Wyglądał na bardzo skrępowanego.

Nie liczyłam na to, że ten incydent odmieni mój los. Pan Haneda był zbyt dobrym prezesem, by kwestionować zarządzenia któregoś ze swoich podwładnych, tym bardziej gdy pochodziły od jedyne go w jego firmie wyższego urzędnika płci żeńskiej. Miałam jednak podstawy, by podejrzewać, że Fubuki musiała się przed nim tłumaczyć ze swojej decyzji.

Następnego dnia w toalecie dla pań odezwała się do mnie lodowatym tonem:

– Jeśli ma pani powody, by się skarżyć, powinna je pani zgłaszać do mnie.

– Nikomu się nie skarżyłam.

– Dobrze pani wie, co mam na myśli.

Wcale tego tak dobrze nie wiedziałam. Jak miałam się zachować, żeby nie wyglądało na to, że się skarżę? Uciec natychmiast z męskiej toalety, udając, że pomyliłam wygodki?

Tak czy inaczej bardzo mi się spodobało sformułowanie mojej przełożonej: „Jeśli ma pani powody, by się skarżyć...”. Tym, co mnie w nim zachwyciło, było słowo „jeśli”: jakby było do pomyślenia, że nie mam powodów, by się skarżyć.

W hierarchii były jeszcze dwie inne osoby, które mogłyby mnie stąd wyciągnąć: pan Omochi i pan Saito.

Było jasne, że wiceprezes nie martwi się moim losem. Przeciwnie – moją nominację przyjął entuzjastycznie. Kiedy mijał mnie w kiblu, rzucał rubasznie:

– Dobrze mieć stanowisko, co?

Mówił to bez ironii. Na pewno myślał, że znajdę w tym zajęciu spełnienie, którego źródłem może być tylko praca. Fakt, że istota tak mało zdolna jak ja znalazła wreszcie swoje miejsce w społeczeństwie, uważał za krzepiący. Poza tym musiał odczuwać ulgę, że nie płaci mi już za nicnierobienie.

Gdyby ktoś mu oznajmił, że to zajęcie mnie poniża, wykrzyknąłby:

– Co znowu? Jest poniżej jej godności? Powinna być szczęśliwa, że dla nas pracuje.

W przypadku pana Saito rzeczy miały się zupełnie inaczej. Robił wrażenie bardzo zakłopotanego tą historią. Nieraz widziałam, że panicznie boi się Fubuki: miała od niego czterdzieści razy więcej siły i autorytetu. Za nic w świecie nie odważyłby się interweniować.

Kiedy mijał mnie w toalecie, na jego chorowitej twarzy pojawiał się nerwowy grymas. Moja przełożona miała rację, kiedy mówiła mi o dobroci pana Saito. Był dobry, ale bojaźliwy.

Najbardziej krępujące było moje spotkanie w tym miejscu ze znakomitym panem Tenshi. Wszedł i ujrawszy mnie, zmienił się na twarzy. Kiedy minęło zaskoczenie, zrobił się pomarańczowy. Wyszeptał:

– Amélie-san...

Po czym zamilkł, zrozumiałwszy, że nie ma tu nic do powiedzenia. Następnie zrobił coś bardzo dziwnego: wyszedł, nie ulżywszy żadnej z potrzeb, dla których przewidziano ten przybytek.

Nie wiem, czy mu się odechciało, czy też poszedł do toalety na innym piętrze. Uświadomiłam sobie, że raz jeszcze pan Tenshi znalazł najszlachetniejsze rozwiązanie: jego sposób na okazanie mi współczucia polegał na bojkotowaniu wygodki na czterdziestym czwartym piętrze. Gdyż nigdy więcej go tam nie zobaczyłam – a choćby był nie wiem jak anielski, nie był przecież czystym i bezcielesnym duchem.

Szybko zrozumiałam, że zaczął głosić dobrą nowinę w swoim otoczeniu; wkrótce reszta pracowników działu produktów mlecznych także przestała pojawiać się w mojej

pustelni. Z czasem zaś stwierdziłam, że nawet inne działały coraz częściej omijają męską toaletę.

Błogosławiłam pana Tenshi. Ponadto ten bojkot stanowił prawdziwy odwet na Yumimoto: pracownicy, którzy decydowali się iść na czterdzieste trzecie piętro, czekając na windę, tracili czas, który mogliby wykorzystać na pracę dla przedsiębiorstwa. W Japonii nazywa się to sabotażem: to jedna z najcięższych japońskich zbrodni, tak odrażająca, że określa się ją francuskim słowem, trzeba bowiem być cudzoziemcem, żeby wymyślić taką podłość.

Ta solidarność wzruszyła moje serce i ożywiła pasję filologiczną: słowo bojkot wywodzi się wprawdzie od angielskiego posiadacza nazwiska Boykott, można jednak założyć, że w nazwisku tym zawarta jest aluzja do chłopca. I rzeczywiście, tylko mężczyźni omijali moją siedzibę.

Girlkotu nie było. Przeciwnie, Fubuki zdawała się korzystać z łazienki z większym niż kiedykolwiek zapałem. Zaczęła nawet dwa razy dziennie myć sobie zęby: nie sposób przecenić zbawiennego wpływu dławiącej ją nienawiści na higienę jej jamy ustnej. Tak bardzo miała mi za złe, że nie złożyłam wymówienia, iż korzystała z każdego pretekstu, żeby sobie ze mnie zakpić.

Bawiło mnie to zachowanie. Fubuki sądziła, że mi przeszkadza, podczas gdy ja przeciwnie, byłam zachwycona, że mam tak wiele okazji, aby podziwiać jej chmurną piękność w naszym prywatnym gineceum. Żaden buduar nie zapewniłby nam takiej intymności jak damska toaleta na czterdziestym czwartym piętrze: kiedy otwierały się drzwi, wiedziałam na pewno, że wchodzi moja przełożona, ponieważ trzy pozostałe kobiety pracowały na czterdziestym trzecim. Było to więc miejsce zamknięte, rodzaj



teatru, gdzie dwie tragiczki spotykały się kilka razy dziennie, żeby odegrać kolejne sceny namiętnej i gwałtownej waśni.

Z czasem pustki w męskiej toalecie na czterdziestym czwartym piętrze stały się nazbyt widoczne. Zaglądało tam niekiedy dwóch czy trzech roztargnionych albo wiceprezes. Domyślałam się, że właśnie ten ostatni zirytował się tym faktem i powiadomił władze.

Musiał to być dla dyrekcji prawdziwy problem taktyczny: jakkolwiek nawykli do manipulowania ludźmi, możni przedsiębiorstwa nie mogli jednak nakazać swoim urzędnikom, by ci załatwiali swoje potrzeby na własnym piętrze, a nie piętro niżej; nie mogli też tolerować tego aktu sabotażu. Należało jakoś zareagować. Ale jak?

Oczywiście odpowiedzialność za tę hańbę spadła na mnie. Fubuki wtargnęła do gineceum i patrząc na mnie groźnie, oznajmiła:

– Tak dłużej być nie może. Kolejny raz przeszkadza pani otoczeniu.

– Co znowu zrobiłam?

– Dobrze pani wie.

– Przysięgam, że nie wiem.

– Nie zauważyła pani, że panowie starają się nie korzystać z toalety na czterdziestym czwartym piętrze? Tracą czas, żeby chodzić na inne poziomy. Pani obecność ich krępuje.

– Rozumiem. Ale, jak pani wiadomo, nie jestem tu z własnej inicjatywy.

– Arogantka! Gdyby umiała pani zachować się z godnością, nie doszłoby do takiej sytuacji.

– Nie rozumiem, co ma tutaj do rzeczy moja godność.

– Jeśli patrzy pani na mężczyzn, którzy wchodzą do ustępu, tak samo jak na mnie, ich zachowanie łatwo można wytłumaczyć.

Parsknęłam śmiechem:

– Może być pani spokojna, w ogóle na nich nie patrzę.

– Dlaczego więc nie czują się swobodnie?

– To normalne. Sama obecność osoby płci przeciwnej działa na nich onieśmielająco.

– To czemu nie wyciąga pani z tego wniosków?

– Jakie wnioski mam z tego wyciągnąć?

– Że nie powinna pani tam przebywać!

Twarz mi się rozpromieniła:

– Jestem zwolniona z funkcji w toalecie dla panów?

Och, dziękuję!

– Tego nie powiedziałam!

– W takim razie nie rozumiem.

– No więc, kiedy wchodzi mężczyzna, pani wychodzi.

Czeka pani, aż on wyjdzie, po czym pani wraca.

– Dobrze, ale kiedy jestem w damskiej toalecie, skąd mogę wiedzieć, czy ktoś jest w męskiej. Chyba że...

– Co?

Przybrałam maksymalnie głupią i błogą minę.

– Mam pomysł! Wystarczy zainstalować w męskim klozecie kamerę z monitorem kontrolnym u pań. W ten sposób będę wiedziała, kiedy mogę tam wejść!

Fubuki spojrzała na mnie skonsternowana.

– Kamera w męskiej toalecie? Zdarza się pani czasem pomyśleć, zanim pani coś powie?

– Jeżeli panowie nie będą o tym wiedzieli! – ciągnęłam naiwnie.

– Ani słowa więcej! Jest pani idiotką!

– Oby tak było. Bo proszę sobie wyobrazić, że dała pani to stanowisko komuś inteligentnemu!

– Jakim prawem pani mi odpowiada?

– A co ryzykuję? Nie może mnie już pani bardziej zdegradować.

Posunęłam się za daleko. Przez chwilę miałam wrażenie, że moja zwierzchniczka dostanie zawału. Przeszyła mnie wzrokiem.

– Radzę uważać! Nie wie pani, co może panią spotkać.

– Chętnie się dowiem.

– Niech pani uważa. I znajdzie sposób, żeby opuszczać męską toaletę, kiedy ktoś tam wchodzi.

Wyszła. Zastanawiałam się, czy jej groźba jest realna, czy tylko blefuje.

Dostosowałam się do nowego zalecenia, zadowolona, że będę rzadziej przebywać w miejscu, gdzie w ciągu dwóch miesięcy miałam wątpliwy przywilej przekonać się, że samiec japoński nie jest ani trochę dystyngowany. O ile Japonka żyła w ciągłym strachu przed najłabszym odgłosem, jaki mogłoby wydać jej ciało, o tyle Japończyk w ogóle się takimi drobiazgami nie przejmował.

Bywałam tam rzadziej, stwierdziłam jednak, że urzędnicy z działu produktów mlecznych nadal nie odwiedzali swojego przybytku na czterdziestym czwartym piętrze: pod wpływem szefa ich bojkot trwał. Chwała niech będzie za to panu Tenshi.

Albowiem, od czasu mojej nominacji, wyprawa do ustępu w przedsiębiorstwie stała się aktem politycznym.

Mężczyzna, który chodził jeszcze do toalety na czterdziestym czwartym piętrze, dawał do zrozumienia:

„Jestem absolutnie podporządkowany władzy i jest mi obojętne, że upokarza się cudzoziemców. Dla tych ostatnich zresztą nie ma miejsca w Yumimoto”.

Ten, kto z niej nie korzystał, wyrażał taką opinię: „To, że szanuję przełożonych, nie przeszkadza mi krytycznie oceniać niektórych ich decyzji. Poza tym myślę, że Yumimoto postąpiłoby rozsądnie, zatrudniając cudzoziemców na kilku odpowiedzialnych stanowiskach, gdzie mogliby nam się przydać”.

Nigdy dotąd wygodka nie była miejscem debaty ideologicznej na tak poważny temat.

W każdym życiu zdarza się traumatyczny dzień, który dzieli je na to, co było przedtem i to, co było potem i którego wspomnienie, nawet najbardziej przelotne, budzi w człowieku irracjonalny, paraliżujący i zwierzęcy strach.

Damska toaleta firmy była cudowna, ponieważ znajdowało się w niej duże okno. Było to w moim świecie niezwykle ważne miejsce: całymi godzinami wystawałam przy nim z czołem przytkniętym do szyby i wyobrażałam sobie, że rzucam się w otchłań. Widziałam, jak moje ciało leci w dół, upajałam się tym spadaniem aż do zawrotu głowy. Dzięki temu mogę oświadczyć, że na swoim stanowisku nie nudziłam się ani przez minutę.

Byłam właśnie w trakcie rzucania się przez okno, gdy wybuchł nowy dramat. Usłyszałam otwierające się za moimi plecami drzwi. Mogła to być tylko Fubuki; nie był to jednak szybki i czysty dźwięk, z jakim zwykła wkraczać moja oprawczyni. Zabrzmiało to tak, jakby drzwi zostały wyważone. A odgłos kroków nie był stukotem szpilek, lecz ciężkim i gwałtownym stąpaniem rozochoconego yeti.

Wszystko to stało się tak szybko, że ledwie miałam czas się odwrócić, by zobaczyć, jak naciera na mnie zwaliste cielsko wiceprezesa.

Ułamek sekundy osłupienia („O, nieba! Mężczyzna – o ile ta kupa sadła mogła być mężczyzną – u pań!”), a potem nieskończona panika.

Złapał mnie jak King Kong blondyneczkę i wyciągnął na korytarz. Byłam zabawką w jego rękach. Mój strach sięgnął szczytu, kiedy zorientowałam się, że wlecze mnie do męskiej toalety.

Przypomniały mi się groźby Fubuki: „Nie wie pani, co może panią spotkać”. Nie blefowała. Zapłacę za swoje grzechy. Serce zamarło mi w piersi. Mózg zaczął spisywać testament.

Pamiętam, że pomyślałam: Zgwałci cię i zabije. Tak, ale w jakiej kolejności? Oby najpierw zabił!

Jakiś człowiek mył ręce nad umywalką. Niestety, obecność trzeciej osoby w niczym nie zmieniła zamiarów pana Omo-chi. Otworzył drzwi jednej z kabin i rzucił mnie na kibel.

Wybiła twoja godzina – pomyślałam.

Zaczął konwulsyjnie wykrzykiwać trzy sylaby. Moje przerażenie było tak wielkie, że nic nie rozumiałam: myślałam, że chodzi o jakiś odpowiednik okrzyku kamikaze „banzaj!”, dostosowany do konkretnego przypadku przemocy seksualnej.

Z pianą na ustach wciąż wykrzykiwał te trzy dźwięki. Nagle doznałam olśnienia i udało mi się rozszyfrować jego wrzaski:

– No pepa! No pepa!

Co w narzeczu japońsko-amerykańskim znaczy:

„No paper! No paper!”.

Wiceprezes wybrał więc ten taktowny sposób, by poinformować mnie, że w przybytku zabrakło papieru.

Niewiele myśląc, pobiegłam do pakamery, do której miałam klucze, i na uginających się nogach wróciłam pędem, taszcząc w ramionach rolki papieru. Pan Omochi popatrzył, jak je zakładam, wrzasnął coś, co zapewne nie było komplementem, wyrzucił mnie na korytarz, a sam odizolował się w świeżo zaopatrzonej kabinie.

Z obolałą duszą schroniłam się w damskiej toalecie. Kucnęłam w kącie i rozplakałam się.

Jakby przez przypadek tę właśnie chwilę wybrała Fubuki, by przyjść umyć sobie zęby. Zobaczyłam ją w lustrze, jak z ustami pełnymi spienionej pasty patrzyła, jak płacząc. W jej oczach malowała się radość.

Przez chwilę nienawidziłam mojej przełożonej tak bardzo, że zapragnęłam jej śmierci. Myśląc o zbieżności jej nazwiska z łacińskim słowem, które właśnie mi się nasunęło, omal nie zawołałam: „Memento mori!”.

Sześć lat wcześniej strasznie spodobał mi się japoński film *Furyo* – którego angielski tytuł brzmiał *Merry Christmas, mister Lawrence*. Jego akcja toczy się w czasie wojny na Pacyfiku, chyba w 1944 roku. Grupa brytyjskich żołnierzy jest uwięziona w japońskim obozie wojskowym. Pomiędzy jednym z Anglików (David Bowie) a kornielem japońskim (Ryuichi Sakamoto) nawiązuje się to, co niektóre podręczniki psychologii nazywają „paradoksalnym związkiem”.

Być może z racji bardzo młodego wieku odebrałam ten film Oshimy jako niezwykle wzruszający, zwłaszcza przejmujące sceny konfrontacji obu bohaterów. Historia kończy się tym, że Japończyk skazuje Anglika na śmierć.

W jednym z najsmakowitszych ujęć, pod koniec filmu, Japończyk przychodzi obejrzeć swą na wpół martwą ofiarę. Jako sposób egzekucji wybrał zakopanie skazańca w ziemi, tak by wystawała tylko głowa narażona na działanie słońca: ta wymyślna tortura sprawiała, że jeńca zabijały trzy czynniki jednocześnie: pragnienie, głód i porażenie słoneczne.

Metoda tym bardziej wyszukana, że jasnowłosy Brytyjczyk miał cerę podatną na przypieczenie. I kiedy sztywny i godny dowódca przychodził popatrzeć na obiekt swojego „paradoksalnego związku”, twarz umierającego miała barwę przypalonego i nieco szerniałego rostbefu. Miałam szesnaście lat i wydawało mi się, że taka śmierć jest pięknym dowodem miłości.

Chcąc nie chcąc, doszukiwałam się pewnego podobieństwa między tą historią a moimi niepowodzeniami w Yumimoto. Ponośliam oczywiście inną karę. Jednak byłam wojennym jeńcem w obozie japońskim, a moja oprawczyni dorównywała urodą Ryuichi Sakamoto.

Któregoś dnia, kiedy myła ręce, zapytałam, czy widziała ten film. Przytaknęła. Musiałam być tego dnia wyjątkowo odważna, bo brnęłam dalej:

– Podobał się pani?

– Miał dobrą muzykę. Szkoda, że opowiadał nieprawdziwą historię.

(Zupełnie nieświadomie Fubuki uprawiała łagodny rewizjonizm, często spotykany u młodych ludzi w Kraju Wschodzącego Słońca: jej rodacy nie mieli sobie nic do zarzucenia w związku z ostatnią wojną, ich wypady do Azji miały na celu ochronę tubylców przed nazistami. Nie byłam w stanie z nią dyskutować).

– Myślę, że można w nim dostrzec pewną metaforę  
– powiedziałam tylko.

– Metaforę czego?

– Stosunku do innego człowieka. Na przykład stosunków pomiędzy panią a mną.

Spojrzała na mnie z zakłopotaniem, jakby zastanawiała się, co ta wariatka znowu wymyśliła.

– Owszem – mówiłam dalej. – Pomiedzy panią a mną jest taka sama różnica jak między Ryuichi Sakamoto a Davidem Bowie. Wschód i Zachód. Pod warstwą pozornego konfliktu to samo wzajemne zainteresowanie, te same nieporozumienia maskujące pragnienie zgody.

Na próżno starałam się używać co najmniej ascetycznych omówień, zdawałam sobie sprawę, że posuwam się za daleko.

– Nie – powiedziała lakonicznie moja przełożona.

– Dlaczego?

Co na to odpowie? Miała mnóstwo możliwości: „Nie budzi pani we mnie żadnego zainteresowania”, albo „wcale nie pragnę zgody z panią”, albo „co za zuchwałość, porównywać swój los do losu jeńca wojennego!”, albo „było między tymi dwiema postaciami coś niejasnego, czego w żadnym wypadku nie mogłabym odnieść do siebie”.

Lecz nie. Fubuki była bardzo sprytna. Obojętnym i uprzejmym głosem udzieliła mi miazdzącej, choć grzecznej odpowiedzi:

– Uważam, że nie jest pani podobna do Davida Bowie. Trzeba przyznać, że miała rację.

Na moim stanowisku bardzo rzadko zdarzało mi się rozmawiać. Nie było to zabronione, a jednak jakaś niepisana reguła powstrzymywała mnie od tego. Dziwna rzecz, kiedy wykonuje się tak mało zaszczytne zadanie, jedynym sposobem, żeby zachować honor, jest milczenie.



Istotnie, jeśli sprzątająca kible gawędzi sobie z ludźmi, można przypuszczać, że to zajęcie jej odpowiada, że jest to jej właściwe miejsce i że ta praca tak dobrze ją usposabia, że aż chce jej się szczebiotać.

Natomiast jeśli milczy, to znaczy, że traktuje swoją pracę jak zakonne umartwienie. Ukryta za swoją niemotą, wypełnia pokutną misję gwoli zbawienia grzesznej ludzkości. Bernanos mówi o przygnębiającej banalności zła; czyścicielka kibli ma do czynienia z przygnębiającą banalnością wydalania – zawsze taką samą mimo obrzydliwej różnorodności.

Jej milczenie wyraża konsternację. Jest klozetową karmelitanką.

Milczałam zatem i dużo rozmyślałam. Uważałam na przykład, że chociaż nie jestem podobna do Davida Bowie, moje porównanie ma sens. Faktycznie istniało pewne pokrewieństwo sytuacji między moim przypadkiem a jego. Bo przecież, żeby przydzielić mi tak ohydłą pracę, Fubuki musiała żywić względem mnie jakieś nie całkiem jasne uczucia.

Poza mną miała innych podwładnych. Nie byłam jedyną osobą, której nienawidziła i którą pogardzała. Mogłaby maltretować tamtych. Tymczasem wyładowywała swoje okrucieństwo wyłącznie na mnie. Musiał być to swego rodzaju przywilej.

Postanowiłam traktować tę sytuację jako wyróżnienie.

Czytając te strony, można by pomyśleć, że moje życie ograniczało się do Yumimoto. Nieprawda. Poza przedsiębiorstwem wiodłam ciekawą i bogatą egzystencję.

Postanowiłam jednak tutaj o niej nie wspominać. Po pierwsze, odbiegałoby to od tematu. Po drugie, przy

moich godzinach pracy to życie prywatne było jednak bardzo ograniczone w czasie.

Przede wszystkim jednak z powodów natury schizofrenicznej: kiedy byłam na swoim stanowisku, w toalecie na czterdziestym czwartym piętrze Yumimoto, i usuwałam resztki nieczystości po jakimś urzędniku, nie byłam w stanie sobie wyobrazić, że poza tym budynkiem, o jedenaście stacji metra stąd, jest miejsce, gdzie ludzie lubią mnie, szanują i nie widzą żadnego związku między szczotką do kibla a moją osobą.

Kiedy ta prywatna strona mojej codzienności zaprzętała mi umysł w miejscu pracy, mogłam tylko powiedzieć sobie: „Nie. Wymyśliłaś sobie ten dom i tych ludzi. Jeśli zdaje ci się, że istnieli wcześniej, niż dostałaś swoje nowe stanowisko, to tylko złudzenie. Otwórz oczy: jakie znaczenie ma ciało tych szlachetnych ludzi wobec wieczności fajansu sanitariatów? Przypomnij sobie fotografie zbombardowanych miast: ludzie poumierali, domy zostały zburzone, lecz sedesy dumnie strzelają w niebo osadzone na sterczących w górę rurach. Kiedy dokona się Apokalipsa, miasta będą wyglądać jak las klozetów. Przytulny pokój, w którym sypiasz, osoby, które lubisz, to tylko kompensacyjne wytwory twojego umysłu. Typową reakcją ludzi wykonujących jakiś żałosny zawód jest wymyślanie sobie pozornego świata, o którym wspomina Nietzsche, ziemskiego czy niebiańskiego raju, w który starają się wierzyć, żeby łatwiej znieść swoją niedolę. Ich umysłowy eden jest tym piękniejszy, im podlejsze jest ich zajęcie. Wierz mi: nie istnieje nic poza wygodkami na czterdziestym czwartym piętrze. Wszystko jest tu i teraz.

Więc podchodziłam do okna, przebiegałam wzrokiem jedenaście stacji metra i wpatrywałam się w koniec trasy:

nie widać tam było ani nie można było sobie wyobrazić żadnego domu. „Sama widzisz: to spokojne mieszkanie jest owocem twojej wyobraźni”.

Pozostawało mi tylko przyłgnąć czołem do szyby i rzuć się z okna. Jestem jedyną osobą na świecie, której zdarzył się ten cud: skacząc z okna, uratowała życie.

Do dziś pewnie zachowały się w mieście strzępy mojego ciała.

Mijały miesiące. Z każdym dniem czas coraz bardziej tracił konsystencję. Nie potrafiłam stwierdzić, czy płynie szybko czy powoli. Moja pamięć zaczynała działać jak spłuczka. Wieczorem pociągałam za łańcuch. Mentalna szczotka usuwała ostatnie ślady nieczystości.

Rytualne oczyszczenie, które niczemu nie służyło, ponieważ co rano miska mojego mózgu znowu ulegała zabrudzeniu.

Jak zauważył to ogół śmiertelników, ubikacja jest miejscem sprzyjającym medytacji. Dla mnie, która stałam się jej westalką, była też okazją do refleksji. Zrozumiałam tam jedną ważną rzecz: że w Japonii życie to przedsiębiorstwo.

Zapewne to prawda, która została już zapisana w licznych rozprawach ekonomicznych poświęconych temu krajowi. Jest jednak kolosalna różnica pomiędzy przeczytaniem czegoś w eseju a przeżyciem tego na własnej skórze. Ja mogłam się przekonać, co to oznacza dla pracowników firmy Yumimoto i dla mnie.

Moje cierpienia nie były gorsze od tych, które przeżywali oni. Może tylko bardziej poniżające. Nie był to jednak wystarczający powód, by zazdrościć innym ich pozycji. Była równie nędzna jak moja.

Księgowi spędzający po dziesięć godzin dziennie na przepisywaniu liczb byli w moich oczach ofiarami złożonymi na ołtarzu bóstwa pozbawionego wielkości

i tajemniczości. Od niepamiętnych czasów maluczcy poświęcali życie sprawom, które ich przerastały: dawniej jednak próbowali dostrzec w tym jakiś aspekt mistyczny. Obecnie nie mogli już mieć złudzeń. Oddawali swoje życie bez powodu.

Japonia jest, jak wiadomo, krajem o najwyższym wskaźniku samobójstw. Jeśli o mnie chodzi, dziwię się, że samobójstwa nie zdarzają się tam jeszcze częściej.

Poza przedsiębiorstwem, co czekało na księgowych z mózgami wyplukanymi przez cyfry? Obowiązkowe piwo z kolegami równie odmóżdżonymi jak oni, godziny w zatłoczonym metrze, śpiąca już połowica, zmęczone dzieci, sen, który wciąga jak opróżniająca się umywalka, rzadkie wakacje, z których nikt nie wie, jak korzystać: nic, co zasługiwałoby na miano życia.

Najgorsze, jeśli się pomyśli, że w skali światowej ci ludzie są uprzywilejowani.

Nadszedł grudzień, miesiąc mojej dymisji. To słowo może dziwić: zbliżał się koniec kontraktu, nie mogło być więc mowy o dymisji. A jednak tak. Nie wypadało mi po prostu doczekać do 7 stycznia 1991 i odejść po uściśnięciu kilku dłoni. W kraju, gdzie do niedawna, z umową czy bez, było się nieuchronnie zatrudnionym na zawsze, nie opuszczało się pracy bez zachowania form.

Chcąc uszanować tradycję, powinnam złożyć wymówienie na każdym szczeblu hierarchii, to znaczy czterokrotnie, poczynając od najniższego stopnia drabiny: najpierw Fubuki, potem panu Saito, potem panu Omochi i wreszcie panu Hanedzie.

Przygotowywałam się duchowo do tego zadania. Było jasne, że będę przestrzegać podstawowej reguły: nie skar-

żyć się. Poza tym dostałam ojcowskie polecenie: w żadnym wypadku nie wolno mi dopuścić, aby ta sprawa rzuciła cień na dobre stosunki pomiędzy Belgią a Krajem Wschodzącego Słońca. Nie należało więc dawać do zrozumienia, że jakikolwiek Japończyk z przedsiębiorstwa zachował się wobec mnie niewłaściwie. Jedyne motywy, na które mogę się powoływać – ponieważ trzeba będzie wyjaśnić przyczyny, dla których opuszczam tak korzystne stanowisko – to argumenty wyrażone w pierwszej osobie liczby pojedynczej.

Z punktu widzenia czystej logiki nie miałam dużego wyboru: oznaczało to, że wszystkie winy muszę wziąć na siebie. Taka postawa była oczywiście śmieszna, liczyłam jednak na to, że pracownicy Yumimoto, wdzięczni, że ją przyjmuję, aby uchronić ich przed utratą twarzy, przerwą mi, protestując: „Proszę źle o sobie nie mówić, jest pani znakomitą osobą!”.

Poprosiłam o spotkanie z moją przełożoną. Wyznaczyła mi je późnym popołudniem w pustym pokoju. Kiedy do niej szłam, jakiś diabeł podszeptował mi: „Powiedz jej, że jako babcia klozetowa zarobisz więcej gdzie indziej”. Z wielkim trudem udało mi się zmusić go do milczenia i o mało nie parsknęłam śmiechem, siadając naprzeciw ślicznotki.

Diabeł wybrał tę właśnie chwilę, żeby podsunąć mi kolejną sugestię: „Powiedz jej, że zostaniesz, jeśli w klopie postawią miseczkę, do której każdy użytkownik będzie wrzucał po pięćdziesiąt jenów”.

Przygryzłam sobie od wewnątrz policzki, żeby zachować powagę. Było to tak trudne, że nie mogłam wykrztusić słowa.

Fubuki westchnęła:

– No więc? Miała mi pani coś do powiedzenia?

Chcąc ukryć wykrzywiałe się w śmiechu usta, schyliłam głowę najniżej, jak to było możliwe, co nadało mojej postawie wyraz pokory i zapewne ucieszyło moją przełożoną.

– Zbliża się koniec naszej umowy i z najwyższą przykrością chciałam panią zawiadomić, że nie będę mogła jej przedłużyć.

Mówiłam głosem posłusznym i lęklwym, głosem archetypicznej podwładnej.

– Tak? A to dlaczego? – spytała sucho.

Co za wyborne pytanie! A więc nie tylko ja odgrywałam komedię. Nie pozostając w tyle, udzieliłam następującej odpowiedzi:

– Firma Yumimoto dostarczyła mi wielu okazji do wykazania się. Jestem jej za to nieskończenie wdzięczna. Niestety nie stanęłam na wysokości zadania i nie potrafiłam skorzystać z zaszczytu, jaki mi uczyniono.

Musiałam przerwać, żeby znowu przygryźć sobie policzki, tak bardzo śmieszyło mnie to, co mówiłam. Fubuki natomiast najwyraźniej nie uznała tego za śmieszne, ponieważ powiedziała:

– Zgadza się. A jak pani sądzi, dlaczego nie stanęła pani na wysokości zadania?

Nie mogłam powstrzymać się od uniesienia głowy, żeby na nią spojrzeć: czy to możliwe, że pyta mnie, dlaczego nie stanęłam na wysokości biurowego kibla? Czy jej potrzeba upokarzania mnie osiągnęła tak monstrualne rozmiary? A jeśli tak, jaka jest prawdziwa natura uczuć, które do mnie żywi?

Patrząc jej prosto w oczy, żeby zobaczyć, jak zareaguje, wygłosiłam następujący tekst:

– Dlatego, że moje zdolności intelektualne okazały się niewystarczające.

Nie zależało mi szczególnie na tym, żeby dowiedzieć się, jakich zdolności intelektualnych wymaga szorowanie brudnych klozetów, chciałam natomiast zobaczyć, czy tak groteskowy dowód uległości przypadnie do gustu mojej oprawczyni.

Jej twarz dobrze wychowanej Japonki pozostawała nieruchoma i pozbawiona wyrazu, musiałam przyjrzeć się jej z najwyższą uwagą, żeby dostrzec lekki skurcz szczęk wywołany moją odpowiedzią: szczytowała.

Nie zamierzała szybko rezygnować z przyjemności. Mówiła dalej:

– Ja też tak sędzę. Jaka jest, według pani, przyczyna tej niezdolności?

Odpowiedź sama się nasuwała. Bawiłam się znakomicie:

– Niższość mózgu zachodniego w porównaniu z japońskim.

Zachwycona moją uległością wobec jej zachcianek, Fubuki znalazła adekwatną replikę:

– Na pewno jest w tym część prawdy. Nie trzeba jednak wyolbrzymiać niższości przeciętnego zachodniego mózgu. Nie sądzi pani, że ta niezdolność wynika przede wszystkim z niedorozwoju pani własnego mózgu?

– Zapewne.

– Na początku sądziłam, że chce pani sabotować Yumimoto. Proszę przysiąc, że nie robiła pani tych wszystkich głupot umyślnie.

– Przysięgam.

– Jest pani świadoma swojego upośledzenia?

– Tak. Firma Yumimoto pomogła mi je dostrzec.

Twarz mojej przełożonej pozostawała nieruchoma, ale po głosie czułam, że zasycha jej w ustach. Byłam szczęśliwa, że wreszcie dostarczam jej chwili rozkoszy.

– A więc firma oddała pani wielką przysługę.

– Będę jej za to po wsze czasy wdzięczna.

Zachwycał mnie surrealistyczny obrót, jaki przybrała ta rozmowa, dzięki której Fubuki znalazła się w siódmym niebie. W gruncie rzeczy była to bardzo wzruszająca chwila.

„Droga burzo śnieżna, jeśli tak tanim kosztem mogę stać się narzędziem twojej przyjemności, nie krępuj się, natrzyj na mnie swymi szorstkimi i twardymi płatkami, ziarnkami gradu ostrymi jak krzemień; twoje chmury są tak nabrzmięte pasją – mogę być śmiertelniczką, zagubioną na jakiejś górze, na której wyładowują swą złość; tysiące lodowatych kropelek smaga mi twarz, nic mi to nie przeszkadza, tak wspaniale jest patrzeć, jak kaleczysz mi skórę razami obelg, jak strzelasz na postrach ślepymi nabojami; droga burzo śnieżna, nie dałam sobie zawiązać oczu przed twoim plutonem egzekucyjnym, gdyż od dawna oczekiwałam chwili, kiedy w twych oczach ujrzę przyjemność”.

Myślałam, że osiągnęła zaspokojenie, ponieważ zadała pytanie, które wydało mi się czysto grzecznościowe:

– A dalej, co pani zamierza robić?

Nie miałam zamiaru mówić jej o swoim pisaniu. Wykręciłam się więc banałem:

– Może spróbuję uczyć francuskiego.

Moja zwierzchniczka zaśmiała się pogardliwie.

– Uczyć! Pani! Uważa pani, że będzie umiała uczyć!

Cholerna burza śnieżna, nigdy jej nie zabraknie amunicji!

Zrozumiałam, że jeszcze jej mało. Nie mogłam więc głupio odpowiedzieć, że mam nauczycielski dyplom.

Spuściłam głowę.

– Ma pani rację, nie jestem jeszcze dość świadoma swoich ograniczeń.

– Rzeczywiście. A tak w ogóle, to jaki zawód mogłaby pani wykonywać?



Wypadało mi teraz umożliwić jej osiągnięcie paroksyzmu ekstazy.

Stara japońska dworska etykieta precyzuje, że do Cezara należy zwracać się „z pokorą i unizieniem”. Zawsze mnie zachwycała ta formuła, która tak dobrze pasuje do gry aktorów w filmach o samurajach, gdy ci zwracają się do swojego szefa z nadludzkim szacunkiem.

Przybrałam więc postawę pełną pokory i unizenia. Zato piłam przerażone spojrzenie w oczach młodej kobiety i wyjąkałam:

– Sądzi pani, że przyjmą mnie do wywożenia śmieci?

– Tak! – powiedziała trochę nazbyt entuzjastycznie.

Głęboko odetchnęła. Udało mi się.

Kolejną osobą, którą miałam powiadomić o dymisji, był pan Saito. On też wyznaczył mi spotkanie w pustym pokoju, ale w odróżnieniu od Fubuki, kiedy przed nim usiadłam, wyglądał na skrępowanego.

– Zbliża się koniec naszej umowy i z przykrością chciałam pana zawiadomić, że nie będę mogła jej przedłużyć.

Na twarzy pana Saito pojawiły się tiki. Ponieważ nie wiedziałam, jak rozumieć jego mimikę, dalej odgrywałam swój numer:

– Firma Yumimoto dostarczyła mi wielu okazji do wykazania się. Jestem jej za to nieskończenie wdzięczna. Niestety nie stanęłam na wysokości zadania i nie potrafiłam skorzystać z zaszczytu, jaki mi uczyniono.

Drobnym ciałem pana Saito wstrząsały nerwowe drgawki. Wyglądał na bardzo zakłopotanego.

– Amélie-san...

Jego oczy błądziły po wszystkich kątach pokoju, jakby szukały w nich odpowiedzi. Współczułam mu.

– Saito-san?

– Jest mi... nam... jest mi bardzo przykro. Nie chciałem, żeby sprawy tak się potoczyły.

Japończyk, który naprawdę za coś przeprosza – to zdarza się mniej więcej raz na sto lat. Byłam przerażona, że pan Saito zdobył się dla mnie na takie upokorzenie. Wydawało się to tym bardziej niesprawiedliwe, że nie odegrał żadnej roli w moich kolejnych degradacjach.

– Niech panu nie będzie przykro. Wszystko było w porządku. A pobyt w pana firmie wiele mnie nauczył.

Tutaj, faktycznie, nie kłamałam.

– Ma pani jakieś plany? – zapytał z miłym i pełnym napięcia uśmiechem.

– Proszę się o mnie nie martwić. Na pewno coś sobie znajdę.

Biedny pan Saito! To ja musiałam go pocieszać. Mimo względnie dobrej pozycji zawodowej był tylko jednym z tysięcy Japończyków, jednocześnie niewolnikiem i katem na usługach systemu, którego nie lubił, ale którego nigdy nie będzie zdolny się wyprzeć, bo jest zbyt słaby i brakuje mu wyobraźni.

Nadeszła kolej na pana Omochi. Umierałam ze strachu na myśl, że znajdę się z nim sama. Niesłusznie. Wiceprezes był w znakomitym humorze.

Zobaczył mnie i zawołał:

– Amélie-san!

Powiedział to w ten fantastyczny japoński sposób polegający na potwierdzeniu istnienia danej osoby poprzez wykrzyknięcie jej imienia.

Mówił z pełnymi ustami. Z brzmienia jego głosu próbowałam odgadnąć naturę spożywanego pokarmu. Musiał

być papkowaty, lepki, jeden z tych, po których trzeba jeszcze długo omiatać zęby językiem. Nie tak jednak przylegający do podniebienia jak karmelek. Za tłusty, by być tasiemką lukrecji. Za zwarty, żeby być galaretką. Tajemnica.

Zaczęłam recytować swoją, już wyćwiczoną, litanie:

– Zbliża się koniec naszej umowy i z przykrością chciałam zawiadomić, że nie będę mogła jej przedłużyć.

Leżący na kolanach smakołyk zasłaniało mi biurko. Wiceprezes włożył do ust nową porcję: grube paluchy zakryły ładunek, który został pochłonięty, zanim udało mi się dostrzec jego kolor. Zezłościło mnie to.

Grubas musiał zauważyć moje zaciekawienie tym, co je, ponieważ wziął paczuszkę i podsunął mi pod nos. Ku swemu wielkiemu zdumieniu ujrzałam bladozieloną czekoladę.

Zmieszana, podniosłam na wiceprezesa zalęknione spojrzenie:

– To czekolada z planety Mars?

Zaczął ryczeć ze śmiechu. Krztusił się spazmatycznie:

– Kassei no chokoretto! Kassei no chokoretto!

To znaczy: „Czekolada z Marsa! Czekolada z Marsa!”.

Uznałam, że to dość dziwna reakcja na wiadomość o mojej dymisji. Pełna cholesterolu wesołość wiceprezesa nie nastrajała mnie najlepiej. Narastała niebezpiecznie i już widziałam, jak atak serca na moich oczach zwała go z nóg.

Jak wytłumaczę to władzom? „Przyszłam złożyć mu swoją dymisję. To go zabiło”. Żaden urzędnik firmy Yumimoto nie uwierzyłby w taką wersję: byłam pracownikiem, którego odejście mogło być tylko doskonałą nowiną.

W historię z zieloną czekoladą też nikt by nie uwierzył. Nie umiera się od kilku kawałków czekolady, choćby nawet miała kolor chlorofilu. Teza o morderstwie byłaby o wiele bardziej prawdopodobna. Powodów mi nie brakowało.

Słowem, należało mieć nadzieję, że pan Omochi nie wykorkuje, gdyż to ja byłabym główną podejrzaną.

Miałam właśnie zacząć recytować drugą zwrotkę, żeby powstrzymać ten tajfun śmiechu, kiedy grubas wyjaśnił:

– To biała czekolada z zielonym melonem, specjalność Hokkaido. Przepyszna. Fantastycznie oddali smak japońskiego melona. Proszę, niech pani spróbuje.

– Nie, dziękuję.

Lubiłam japońskie melony, ale myśl o ich zapachu pomieszanym z zapachem białej czekolady naprawdę mnie odrzucała.

Z niewiadomych powodów moja odmowa zirytowała wiceprezesa. Powtórzył swój rozkaz w uprzejmej formie:

– Meshiagatte kudasai.

To znaczy: „Proszę, zechce pani zjeść”.

Odmówiłam.

Zaczął schodzić na coraz niższe poziomy języka:

– Tabete.

To znaczy: „Niech pani je”.

Odmówiłam.

Wrzasnął:

– Taberu!

To znaczy: „Żryj!”.

Odmówiłam.

Wybuchnął gniewem:

– Ejże, dopóki pani kontrakt nie wygaś, musi mnie pani słuchać!

– Co panu za różnica, czy ją zjem, czy nie?

– Bezczelna! Pani nie jest tu od zadawania pytań! Pani ma wykonywać moje polecenia.

– Co ryzykuję, jeśli nie usłucham? Że mnie pan wyrzuci? To by mnie nawet urządziło.

Chwilę później uświadomiłam sobie, że posunęłam się za daleko. Wystarczyło spojrzeć na minę pana Omochi, by zrozumieć, że dobre stosunki belgijsko-japońskie doznawały właśnie znacznego uszczerbku.

Zawał wisiał w powietrzu. Udałam się do Canossy:

– Proszę mi wybaczyć.

Złapał oddech na tyle, żeby wrzasnąć:

– Żryj!

To była moja kara. I kto by pomyślał, że jedzenie zielonej czekolady stanie się politycznym działaniem na skalę międzynarodową?

Wyciągnęłam rękę w stronę opakowania, myśląc sobie, że może tak właśnie rozegrały się sprawy w ogrodzie Edenu: Ewa nie miała najmniejszej ochoty jeść jabłka, ale opasły wąż, w równie nagłym jak niewytłumaczalnym przyplwywie sadyzmu, zmusił ją do tego.

Odlamałam zielonkawy kwadracik i podniosłam do ust. Zniechęcał mnie przede wszystkim ten zielony kolor. Rozgryzłam czekoladę i ze wstydem stwierdziłam, że naprawdę nie jest zła.

– Wyśmienita – przyznałam niechętnie.

– Ha! Ha! Dobra ta czekolada z Marsa, co nie?

Triumfował. Stosunki japońsko-belgijskie znów miały się znakomicie.

Kiedy połknęłam casus belli, przeszłam do dalszego ciągu mojego wystąpienia:

– Firma Yumimoto dostarczyła mi wielu okazji do wykazania się. Jestem jej za to nieskończenie wdzięczna.

Niestety nie stanęłam na wysokości zadania i nie potrafiłam skorzystać z zaszczytu, jaki mi uczyniono.

Z początku zakłopotany, pewnie dlatego że kompletnie zapomniał, po co do niego przyszłam, pan Omochi wybuchnął śmiechem.

W swojej słodkiej naiwności wyobrażałam sobie, że upokarzając się w ten sposób, by uratować ich reputację, poniżając się, żeby nie uczynić im najmniejszego wyrzutu, wywołam uprzejme protesty, w rodzaju: „Ależ skąd, doskonale sobie pani radziła!”.

Tymczasem już po raz trzeci kończyłam swoją gadkę, a nikt niczemu nie zaprzeczał. Fubuki, daleka od negocjowania moich braków, nie omieszkała podkreślić, że mój przypadek jest jeszcze cięższy. Pan Saito, aczkolwiek zasmucony moimi przykrymi doświadczeniami, nie podał w wątpliwość zasadności tak miażdżącej samooceny. Co do wiceprezesa, to nie tylko nie zakwestionował mojej samokrytyki, ale słuchał jej z rosnącym rozbawieniem.

Ta refleksja przypomniała mi powiedzenie André Maurois: „Nie mów o sobie zbyt źle: uwierzą ci”.

Olbrzym wyciągnął z kieszeni chusteczkę, osuszył łzy śmiechu i, ku mojemu osłupieniu, wytarł sobie nos, co w Japonii uchodzi za szczyt prostactwa. Czyżbym więc upadła tak nisko, że można było bezwstydnie wysmarukiwać nos w mojej obecności?

Następnie westchnął:

– Amélie-san!

Nic więcej nie dodał. Wywnioskowałam z tego, że sprawa jest zamknięta. Wstałam, skłoniłam się i skwapliwie wyszłam.

Pozostał mi już tylko sam Bóg.

Nigdy nie czułam się tak bardzo Japonką jak w chwili składania dymisji prezesowi. Wobec niego moje zakłopotanie było szczere i wyrażało się w pełnym napięcia uśmiechu przerywanym tłumioną czkawką.

Pan Haneda przyjął mnie z najwyższą uprzejmością w swoim olbrzymim i jasnym gabinecie.

– Zbliża się koniec naszej umowy i z przykrością chciałam zawiadomić, że nie będę mogła jej przedłużyć.

– Oczywiście. Rozumiem panią.

Był pierwszym, który życzliwie skomentował moją decyzję.

– Firma Yumimoto dostarczyła mi wielu okazji do wykazania się. Jestem jej za to nieskończenie wdzięczna. Niestety nie stanęłam na wysokości zadania i nie potrafiłam skorzystać z zaszczytu, jaki mi uczyniono.

Natychmiast zareagował:

– Nieprawda, dobrze pani o tym wie. Pani współpraca z panem Tenshi wykazała, że posiada pani wybitne zdolności w dziedzinach, które panią interesują.

No, jednak!

Dodał z westchnieniem:

– Nie miała pani szczęścia, nie przyszła pani w dobrym momencie. Słusznie pani robi, odchodząc, ale proszę wiedzieć, że jeśli któregoś dnia zmieni pani zdanie, zawsze będzie pani tutaj mile widziana. Na pewno nie jestem jedynym, któremu będzie pani brakowało.

Jestem przekonana, że w tym punkcie się mylił. Mimo to bardzo się wzruszyłam. Mówił z takim przekonaniem i dobrocią, że zrobiło mi się prawie smutno na myśl o odejściu z tego przedsiębiorstwa.

Nowy Rok: trzy dni rytualnego i obowiązkowego odpoczynku. Dla Japończyka takie nieróbstwo ma w sobie coś traumatycznego.

Przez trzy dni i trzy noce nie wolno nawet gotować. Je się zimne dania, przygotowane wcześniej i przechowywane we wspaniałych pudełkach z laki.

Pośród tych świątecznych specjałów są także omochi: ryżowe ciastka, za którymi dawniej przepadałam. W tym roku, ze względu na ich nazwę, nie byłam w stanie ich tknąć.

Kiedy podnosiłam do ust omochi, miałam niezbitą pewnością, że zaraz ryknie: „Amélie-san!” i wybuchnie lubieżnym śmiechem.

Powrót do firmy tylko na trzy dni. Cały świat miał oczy wlepione w Kuwejt i myślał tylko o piętnastym stycznia.

Ja miałam oczy wlepione w znajdujące się w toalecie okno i myślałam tylko o siódmym stycznia: był to ostatni dzień mojej pracy.

Nadszedł ranek siódmego stycznia i aż trudno mi było w to uwierzyć: tak bardzo czekałam na tę datę. Zdawało mi się, że jestem w Yumimoto co najmniej od dziesięciu lat.

W wygodce na czterdziestym czwartym piętrze spędziłam dzień w nabożnej atmosferze: najbłahsze gesty wykonywałam z powagą kapłana. Niemal żałowałam, że nie mogę na własnej skórze sprawdzić słów starej karmelitanki: „W Karmelu trudne jest pierwszych trzydzieści lat”.

Okolo osiemnastej umyłam ręce i poszłam uścisnąć dłoń tym kilku osobom, które przy różnych okazjach dały mi odczuć, że uważają mnie za istotę ludzką. Nie było wśród nich Fubuki. Żałowałam tej decyzji, tym bardziej że nie żywiłam do niej żadnej urazy. Do tego, by się z nią



nie pożegnać, skłoniła mnie miłość własna. Później uznałam, że zrobiłam głupio: przedkładać swoją dumę nad kontemplację wyjątkowej twarzy, to nie był najszcześniejszy wybór.

O osiemnastej trzydziści ostatni raz wróciłam do Karmelu. Ubikacja dla pań była pusta. Mimo brzydoty neonowego oświetlenia serce mi się ścisnęło: siedem miesięcy – mojego życia? nie; mojego czasu na tej planecie – upłynęło tutaj. Nie było powodów do nostalgii. A jednak coś chwyciło mnie za gardło.

Odruchowo podeszłam do okna. Przyłgnęłam czołem do szyby i poczułam, że tego właśnie będzie mi brakowało: nie każdemu dane jest spoglądać na miasto z wysokości czterdziestego czwartego piętra.

Okno było granicą pomiędzy ohydny światłem a wspaniałymi ciemnościami, między ustępem a nieskończonością, między tym, co sterylne a tym, czego się nie da umyć, między spłuczką a niebem.

Tak długo, jak długo istnieć będą okna, najskromniejszy człowiek na ziemi będzie miał swoją część wolności.

Ostatni raz rzuciłam się w otchłań. Patrzyłam, jak moje ciało spada.

Kiedy zaspokoiliłam swój głód defenestracji, opuściłam budynek Yumimoto. Nigdy więcej mnie tam nie ujrano.

Kilka dni później wróciłam do Europy.

14 stycznia 1991 zaczęłam pisać książkę zatytułowaną *Higiena mordercy*.

15 stycznia był datą amerykańskiego ultimatum wobec Iraku. Dwa dni później zaczęła się wojna.

18 stycznia, na drugim końcu planety, Fubuki Mori skończyła trzydziści lat.

Czas, zgodnie ze swym starym zwyczajem, mijał.  
W 1992 ukazała się moja pierwsza książka.  
W 1993 dostałam list z Tokio. Tekst brzmiał następująco:

*Amélie-san,*

*Gratulacje.*

*Mori Fubuki*

Ten bilecik sprawił mi przyjemność, a pewien jego szczegół zachwyił mnie w najwyższym stopniu: napisany był po japońsku.